ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY DLA MŁODZIEŻY

WYDAWNICTWO ODDZIAŁU KRAKOWSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO

POD REDAKCJĄ

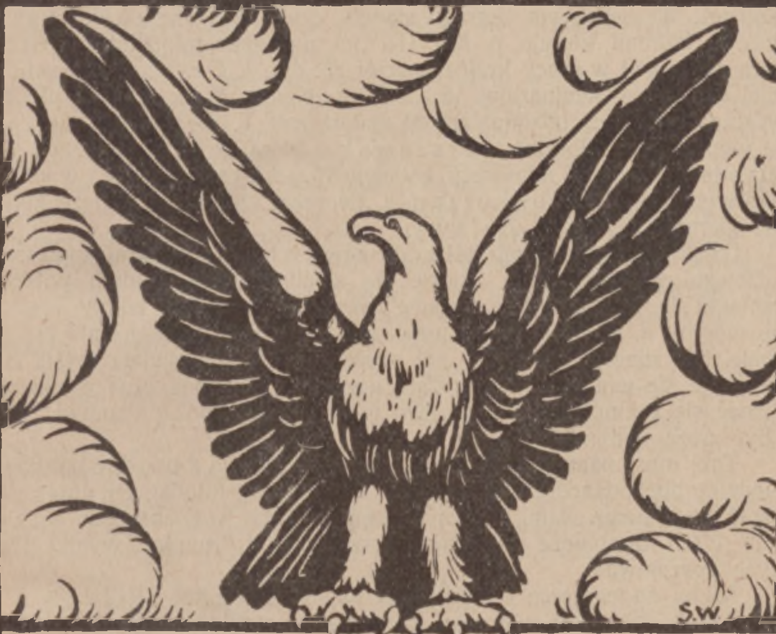
LEOPOLDA WĘGRZYNOWICZA

ROCZNIK VII.

W KRAKOWIE 1926
NAKŁADEM KSIĘGARNI GEOGRAFICZNEJ „ORBIS“
CZCIONKAMI DRUKARNI „ORBIS“ W KRAKOWIE
DĘBNIKI, UL. BARSKA L. 41

Rok VII. Styczeń-Luty 1926. Nr. 1-2.

ORLI·LOT·



MIESIĘCZNIK·
KRAJOZNAWCZY·ORGAN· KÓŁ·KRAJOZNAWCZYCH·· MŁODZIEŻY·P·T·K·

REDAKTOR: LEOPOLD WĘGRZYNOWICZ, Kraków 1, ul. Krowoderska 74, II p. ADMINISTRACJA: KSIĘGARNIA „ORBIS", Kraków-Dębniki, ulica Barska 41.

PRZEDPŁATA ROCZNA ZŁ. 4·—, PÓŁROCZNA ZŁ. 2·—, Odbierany wprost w Administracji rocznie zł. 3·50, półrocznie zł. 1·75. Konto P. K. O. Nr. 401.101. :-: :-:

Od Redakcji.

Zaczynamy siódmy rok życia. Widocznie, że idea, której służymy, jest żywotna. Organizacja kół krajoznawczych młodzieży obejmuje coraz dalsze tereny a krajoznawstwo zyskuje coraz więcej młodych współpracowników.

W ubiegłym roku wydaliśmy pięć numerów opracowanych przez młodzież. W pierwszym szeregu stanęły dzieci z Piasków Luterskich, któremi kieruje p. Kotliński, następnie młodzież z Łodzi, którą zaprawiał w pracy krajoznawczej śp. dyr. J. Czeraszkiewicz, dalej uczniowie Seminarjum w Tomaszowie Maz., którym piękno twórczości ludowej odsłania artysta malarz prof. T. Seweryn, nie dała się wyprzedzić i młodzież warszawska, którą do krajoznawstwa zapala wielki przyjaciel młodzieży, kochany Wuj Al. Janowski i w końcu zakończyli rok Sandomierzanie, tworzący dzielnie pracujące kółko pod kierunkiem dyr. E. Żuławy,

Dzięki tym opiekunom kół krajoznawczych dorobek krajoznawstwa polskiego powiększył się, zajęcie się ziemią polską i ludem polskim wzmogło się. Gdyby w tym stopniu pracowały wszystkie szkoły średnie, nie mógłby p. E. Frankowski powiedzieć, że „ludu naszego nie znamy wcale. Nie znamy jego życia, ani obrzędów, ani jego świata myśli. Nie interesuje się tem ogół, ani wyższa uczelnia. A jednak czas wielki zapoznać się z nim i zrozumieć jego mowę, ażeby móc przemówić doń i być zrozumianym“.

Tak, musi nam w tem pomóc młodzież polska a przedewszystkiem młodzież pochodząca z pod strzechy. Musicie, Wy Młodzi, tej pracy dokonać wspólnemi siłami, zorganizowani w Koła Krajoznawcze, a „Orli Lot“ Wam dopomoże udzielając wskazówek i drukując wyniki Waszych poszukiwań.

Ażeby na tem polu osiągnąć jak najlepsze rezultaty, Redakcja „Orlego Lotu“ ogłasza w tym roku **konkurs na najlepsze prace krajoznawcze wyznaczając 100 zł. nagrody** temu Kołu, które najpożyteczniej pracować będzie i najlepszym materjałem wypełni jeden numer „Orlego Lotu“. A więc do pracy!



Drzeworyt St. Jakubowskiego.

ALEKSANDER JANOWSKI.

Dwie mogiły.

Mówi gdzieś Wyspiański: „Listopad to nie dobra dla Polaków pora“, istotnie, jesień wiele żałoby na Polskę ściąga, a mroczne dni listopadowe zabierały nam dużo wielkich ludzi. W jesieni zmarł Kościuszko, Mickiewicz, Chopin, Matejko, Wyspiański... teraz listopad i pierwsze dni grudnia podcięły życie dwóch potentatów, dwóch filarów literatury polskiej: Żeromskiego i Reymonta.

Obaj ci ludzie nie tylko, że stali na czele współczesnej twórczości literackiej, ale obaj uzupełniali się w przedziwny sposób, dla nas, krajoznawców zwłaszcza. Jeden był czarodziejskim piewcą ziemi, a drugi — ludu. Razem uosabiali całokształt idei polskiej: ziemię i lud.

Jeżeli nastrój krajobrazu polskiego wybornie można usłyszeć w kompozycjach szopenowskich, jeżeli przedziwne efekty tego krajobrazu odtwarza w pejsażach swoich Chełmoński, to opis ziemi polskiej najcudniej ujmuje Żeromski, a cud tej ziemi umie on odnaleźć wszędzie: i w jodłowej puszczy Świętokrzyskiej i w prostocie sosnowego boru na Helu i w granitowych złomiskach tatrzańskich i w wąwozach Bochotnicy, a nawet w sponiewieranej ziemi Zagłębia.

Ten kult ziemi, to głębokie jej odczuwanie budzi w Żeromskim prawdziwie pobożne uczucie uwielbienia: „Bądź pozdrowiona przenajdroższa ziemio nasza, którą czciliśmy miłością bezdenną, gdyś była pod otchłaniami wód niewoli! Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki wieków świętą!“

Po odzyskaniu niepodległości uderza w twórczości Żeromskiego potężny spiżowy ton dumy narodowej. To „głos dzwonów, bijący z wieży nowej, ze świątyni przyszłości. O, święty, o, boski dzwonie nowy! Jaka w tobie siła, jaka moc, jaka w tobie potęga!“

Któż będzie wznosił tę nową świątynię? Kto będzie uderzał w nowy dzwon? Nie my, pokolenie sterane w niewoli, jeno Wy, młodzi synowie wolności, w Was to widzi i moc, i siłę i potęgę wieszczy duch Żeromskiego.

Wierzył niezłomnie we wskrzeszenie Polski i Reymont. Z głęboką wiarą kreślił swe „Nil desperandum“, ale prawo do nieśmiertelności na polskim i wszechświatowym Parnasie dali mu niewątpliwie „Chłopi“.

Po ckliwych, sentymentalnych sylwetkach „poczciwych kmiotków“, mających w sobie coś bardzo sztucznego i teatralnego, kreśli... nie,... wykuwa Reymont w spiżu Borynę i całe środowisko z Lipców. Cała nie upozowana prawda bije z tych czterech części roku na polskiej wsi. Chłop to jest z krwi i kości: nie wyidealizowany „kmiotek“, ani nie spotwarzony „cham“. To człowiek w całej rozległej gamie zalet i przywar, a gdy się kończy jego walka i trud życiowy, pada krzyżem na rolę uprawną i w jedną całość mistyczną z nią się łączy.

Do tych dwóch mogił jesiennych, co na ziemi polskiej przybyły, do tych kurhanów, do tych kopców polskiej sławy zwracać się będzie długie, długie wieki łaknący pociech duch narodu. A Wy, co będziecie budowali jasną świątynię przyszłości, co w spiżowy ton nowego dzwonu śmiało uderzycie, pomnijcie, że na poczynania Wasze z tych dwóch mogił idą snopy mistycznej światłości, dodające Wam promiennych skrzydeł u ramion.

TEOFIL SADŁOWSKI (Warszawa).

Strony rodzinne Żeromskiego.

Pięknie opisuje Żeromski toń polskiego Bałtyku, dzikie wirchy Tatr niebotycznych, płaskie równiny Mazowsza, zasłane kobiercami złocistego zboża.

Lecz ani gór, ani morza, ani dolin rozległych opisy, równać się nie mogą z opisami Gór Świętokrzyskich. Ten kraju piękny zakątek, gdzie góry niewielkie, borami jodeł kryte, lub pocięte polami o barwie rozlicznej, zależnej od pory roku i zbóż i jarzyn uprawianych rodzaju, to cząstka Polski najbliższa sercu wielkiego mistrza pióra.

Ukochał Żeromski swe strony rodzinne, mgły siwe w czas niepogody szczyt Łysicy kryjące, słońca blask co na blasze dachu klasztornego we wsi św. Katarzynie ognie oślepiające zapala...

I w wielu dziełach wspomina, jak syn dobry macierz swoją — Góry Świętokrzyskie.

Od wieków tam wszystko jednakie. Bije spokojnie bez przerwy woda żywa w źródełku leśnym u Łysicy stóp, jak i dawniej, hen daleko biegnie po dolinie Wilkowej głos niedzielnych dzwonów klasztornych.

Wejdźmy cicho jak do świątyni, między jodłowe „drzewa srogie, zwartym ostępem stojące“. Niech „lękliwa cześć“ przed tajemniczością tego chramu przyrody napełni serca nasze i drżyjmy tak, jak drżeli ci, co „od strony Wiślan lub Mazowszan“ wtargnęli w czarną puszczę „z bronzową siekierą“ w dłoni.

Może w gąszczach ciemnych jedlin i krzewów leśnych, wśród „pni grubych, obłych, podartych od przepęknięć“, ujrzymy legendarnego, świętego jelenia.

Cień wieczny leży, szumią jodły i buki potężne, wszystko tu straszne, niepojęte dla człowieka nienawykłego. Gdzieś w ostępach niedosięgłych, na siwych głazach gołoborza zbierają się czarownice.. W tych to lasach ponurych kryli się i walczyli męczennicy-powstańcy. „Szczyt mych cierpień zrównał się z tą górą“ — pisał jeden z tych nieznanych, ostrzem broni złamanej, na ścianie kapliczki leśnej.

Nie tylko jednak puszcze tajemnic pełne, cechują Góry Świętokrzyskie; oto rozciąga się przed zdumionym wzrokiem, rozkoszna, pełna słońca i zieleni jasnej, dolina nadnidziańska.

Płynie wśród łąk srebrzysta Nida, zatacza łuki wspaniałe, a po brzegach jej w gęstwinie, „srokosze kują swe dzwonne pieśni“. Popatrzmy ze szczytu „zburzyszcza“ na Łysicy w stronę góry Mąchockiej i Rodostowej. Wspaniała, wspólna sylweta, tych „gór domowych“ Żeromskiego wysoko wznosi się ponad dolinę Wilkową, ponad mgły i opary siwe...

Widać na szczycie potężną piramidę z głazów „kwarcu, świetlistego od miki i połyskliwego od kryształu górskiego“, przez samą przyrodę, jakby umyślnie na cześć Żeromskiego, z głębi ziemi dźwigniętą...

* * *

Ceńmy pamięć wielkiego pisarza i zwiążmy swe myśli o nim pięknem jego stron rodzinnych tak, jak wieśniak wiąże snop źrałego żyta w jedną, nierozerwalną całość...

EUGENJUSZ PIOTROWSKI (Warszawa).

Lud u Reymonta.

Wieść żałobna obiegła wieś polską. Władysław Reymont, syn siermiężnych oraczy, legł w królewskiej trumnie. Wielotysięczna gromada poniosła na swych barkach jego święte prochy i złożyła je w ziemi ojczystej. Niedawno jeszcze, boć w sierpniowy słoneczny dzień Matki Boskiej Zielnej, włościjaństwo polskie stawiło się w barwnych sukmanach, aby u stóp swego syna złożyć hołd miłości i uwielbienia. Bo Władysław Reymont był piewcą ludu polskiego. Nie wprowadził go wprawdzie do literatury polskiej poraz pierwszy, ale chłop Reymonta to nie z tych, którzy w „Bartku Zwycięzcy“ ubrani siłą w mundur niemiecki grzmocą Francuzów pod Gravelotte lub Sedanem. Chłop Reymonta jest takim, jakim go widzimy w jego pracy codziennej, w pracy ciężkiej, wyciskającej krople potu z jego czoła. Jak Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ dał nam, na przełomie dwóch okresów historycznych, obraz życia szlacheckiego, tak Reymont stworzył epopeję chłopską w chwili, gdy lud włościański, żyjący w nieświadomości swej potęgi i siły, zaczyna się domagać należnego mu miejsca przy budowie własnej państwowości. W czasie pobytu Reymonta we Francji, powstaje pierwsza redakcja „Chłopów“, zniszczona przez autora po jego powrocie do Polski. Jednak w latach 1904—1909 powraca Reymont do pierwotnych zamierzeń i pisze w ostatecznej formie swe arcydzieło. Na tle lipeckiej wsi, zmieniającej swą szatę zewnętrzną, zależnie od pór roku, przewija się przed oczyma czytelnika korowód, dobrze mu skądinąd znany. Dzień za dniem, odsłaniają się nam tajniki nietylko życia wiejskiego w jego szacie zewnętrznej, ale postępując za genjalnym autorem, wnikamy w duszę ludu polskiego. Jego byt, wierzenia, fanatyczną miłość do ziemi karmicielki, stosunek do ludzi, przyrody i religij, to wszystko możemy poznać dzięki Reymontowi. Cechą charakterystyczną całej twórczości Reymonta jest przedziwna przejrzystość jego utworów i harmonja w dostrojeniu poszczególnych postaci. Nikt w „Chłopach“ nie wybija się na plan pierwszy, żyjemy z całą gromadą, w której każdy z bohaterów ma z góry przeznaczone stanowisko. „Chłopi“, to epos o wyrazistej barwie opisów i tęgości obrazów. Z każdej postaci bije prawda życiowa. Stary Boryna, aczkolwiek pełen energji, w chwilach stanowczych zawsze woli poradzić się swej kobity. Z całym naturalizmem odtworzone są sceny zapamiętałej walki gromady o las, sceny barwnych i pełnych ekspresji tańców, okres żniw i siejby, uroczystości kościelne lub rodzinne, w których po wsze wieki etnograf i miłośnik swojskości znajdzie najlepszy materjał do swej pracy.

„Chłopi“ są epopeją nawskroś chrześcijańską. Głęboka religijność Reymonta odzwierciedla się tu w całej pełni. Zaczął swe arcydzieło w imię Boże i skończył słowami: „Ostańcie z Bogiem ludzie“.

Jak w pierwszej połowie XVI w. syn wieśniaka Klemens Janicki, otrzymuje najwyższą nagrodę literacką, uwieńczenie głowy przez papieża wieńcem laurowym, tak Wł. St. Reymont, za swą epopeję chłopską, dostępuje w 1924 r. zaszczytu zaliczenia go, do najbardziej zasłużonych ludzi świata. Toteż lud polski, który przez swego przedstawiciela na uroczystości pogrzebowej, przyrzekł zachować w sercu swem pamięć o zmarłym twórcy, może być dumny ze swego syna.

JÓZ. AL. GAŁUSZKA.

Czem-że?

O filozofy i mózgów przeżuwacze!
czem-że są wasze prawdy „wiekuiste“,
wasze systemy, łańcuchy oznaczeń,
tomy kuglarskich i miałkich sofistyk,
wobec tej skiby, odwalonej pługiem?
wobec mądrości zasianego ziarna?
I wobec krzyża co stojąc nad strugą
wszechświat i serce człowiecze ogarnął?

I wobec słowa świętego „Ojczyzna“,
co we krwi płynie, czerwone, gorące,
przez które widać jak przez czysty pryzmat
wszystko co kochasz od ziemi po słońce — —

TADEUSZ SEWERYN (Tomaszów Maz.).

Polska Kapliczka.

Zapoznajmy się z tem dziełem, które sławą okryło imię Polski na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu!

Wnętrze pełne prostoty. Dużo światła, dużo pogody wiejskiego kościółka o modlitewnie rozdrganej atmosferze. Całość, wycięta w pięknie słojowanej sośninie, ma ton złotawo-miodny.

Płaskorzeźba ołtarzowa ujęta w kwadrat, w który werznął się krzyż z rozpostartym trójkątem Opatrzności. Te geometryczne wytyczne rzeźbiarskiej kompozycji żaludniła figura Matki Bożej z dzieciątkiem na łonie. Dołem wół i osioł przyklękli w pokorze, a górą anieli śpiewają w ostro załamanych promieniach i chmurach.

Ale największe cudo — to tęcza nad prezbiterjum! Tworzą ją duże, bogato zrobione „rysie“ krzyżujących się belek, które artysta z zewnętrza chaty kurpiowskiej i podhalańskiej przeniósł do środka, uzyskując tem przepyszny motyw dekoracyjny, wypływający logicznie z konstrukcji budowli. Zdobi te rysie góralska „łamanina“, „ząbce“, „mirwa“, „oszczypkowe dołki, rzezane w ręcicę“, ale nie w linjach poziomych, lecz skośnie, wedle biegu promieni, których źródłem jest ołtarz. Tym sposobem wzrok widza ślizga się niejako po linjach snycerskich zdobin i wraca do ołtarza.

Artysta, może nieświadomie, wyraził tu jedno z najistotniejszych znamion duszy polskiej, którem jest heljotropizm, zwracanie się ku słońcu. Przypominają się słowa Cyprjana Norwida, który wzdychał:

O gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby jak pokój tej wielkości takiej,
Gdzieby się swojski raz duch wytłomaczył,
Usymbolicznił rozkwitłymi znaki...

A wzrok pada na wyrznięte w sośninie słowa pod ołtarzową płaskorzeźbą: „A Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami“...

Szukajmyż dalej tych „rozkwitłych znaków swojskiego ducha“! — Na narożnych belkach-krzepicach pod rysiami dwaj anieli grają na multankach i skrzypeczkach. To najlepsze rzeźby w całej kapliczce! Ku-

biczne i sferyczne formy tych postaci, rozplanowane przejrzyście, dają niechybny efekt monumentalności. Nie są to karjatydy, bo cóż podpierają? chyba znowu promienie, wychodzące z prezbiterjum.

A dalej na ścianach bocznych ożyły w sośninie nasze pastorałki z całym sielskim liryzmem i staropolską rubasznością. Wrzezał się w pokorne drzewo cały almanach Godowych pieśni ludowych. Są tam i śpiący pastuszkowie i pochód do stajenki i „Trzej Królowie-Monarchowie“ i wiejska muzyka, a nawet „przylecieli, przylecieli tak ślicni anieli“ i Bogu na chwałę śpiewają, aż się ptaszkowie w gniazdkach pobudzili, dzióbki otwierają i piszczą z radości. A wszyscy, geometryzowani w kształtach, idą po promieniach, ze żłóbka wychodzą. Ale zamało jeszcze było światła artyście, więc na górnych ślezajach trójdzielnych okien po obu stronach wyciął w trójkątach graniaste „słonecka“.

A wszystkie rzeźbione postacie w kapliczce są polskie nietylko treścią, ale i formą, gdyż łączyć je należy więzami pokrewieństwa z temi świątkami kurpiowskiemi, podhalańskiemi, a głównie lubelskiemi, których archaiczny typ odkrył artyście źródło polskiego kubizmu i polskiego sferyzmu o wielkiej prostocie formy.

Tak to nasza sztuka ludowa dała artyście skarby swego budownictwa, zdobnictwa, tematu i nastroju, a on stopił te pierwiastki we własnej intuicji twórczej i stworzył dzieło, przed którem międzynarodowy komitet sędziów dnia 31 lipca 1925 odkrył głowy i dając wyraz swemu entuzjazmowi, zawołał: Vive la Pologne! Niech żyje Polska! a twórcę naszej kapliczki odznaczył „wielką nagrodą“, którą zdobywają artyści tylko za wielkie zasługi artystyczne.

Może bylibyśmy radzi, gdyby usunąć żelazne, suche świeczniki z ołtarza, a zastąpić je choćby ludowemi, graniastemi wyrobami sławnego garncarza pokuckiego, Aleksandra Bachmatnika-Bachmińskiego. Możebyśmy nie uwłaczyli polskości wnętrza, gdybyśmy umaili ołtarz dwiema doniczkami kwiatów — wszak strojenie kwieciem świątków, obrazów świętych, krzyżów przydrożnych i kapliczek jest jednym z pięknych zwyczajów polskiego ludu. Może żądalibyśmy, aby znikło wiele szczegółów z bocznych, jasełkowych scen, których zawiłość odbiega od jędrnej formy pastorałek... Ale bezpłodną rzeczą jest mówić o tem, coby być mogło, gdy można rozkoszować się tem, co jest: podniosłym, lirycznym nastrojem i kompozycją, przesiąkłą duchem heljotropizmu.

Któż jest twórcą Polskiej Kapliczki? Artysta rzeźbiarz Jan Szczepkowski; a zaszczyt wykonania jej przypadł w udziele uczniom Miejskiej Szkoły Rzemieślniczej w Warszawie. Jan Szczepkowski dziełem swem stał się „powiększycielem“ Polski. Kapliczkę jego, klejnot całej wystawy paryskiej, zakupiono do muzeum angielskiego. Dzieło polskiego artysty dowiodło 26 narodom w Paryżu, że i Sztuka Polska „to wielka rzecz“.

MARJAN GOTKIEWICZ (Orawa).

Wrażenia z Orawy.

W majowy, pogodny wieczór szedłem wzgórzami na Orawę. Coraz niżej zostawiałem za sobą dolinę rzeki Skawy oddzielonej od rzeki Raby dość niskiem wzniesieniem. Obie rzeki dążyły zgodnie ku środ-

kowi kotliny ograniczonej na północy długim wałem Lubonia, zaś na wschodzie lesistemi Gorcami. Południową, najmniej wybitną krawędzią tej kotliny było pasmo, na które właśnie się wspinałem. Niegdyś biegła niem granica polityczna galicyjsko-węgierska zaznaczona działowodem europejskim, obecnie jednak mogłem bez wszelkich paszportów dostać się na jego drugą stronę, na obszar Górnej Orawy, przyznanej Polsce w lipcu 1920 r.

Szedłem ku niej przez stary las sosnowy. Gdzieniegdzie przeświecała na zachodzie przez konary drzew czerwień nieba i złote promienie kładły się na igliwie, po którem snuły się wielkie, czarne mrówki. Cisza była i spokój. Z małej polanki widziałem w dali Rabkę, Chabówkę, Skawę, a bliżej Rabę Wyżną z dworcem kolejowym oraz Spytkowice ze starym drewnianym kościółkiem. Tu, chociaż najwyżej, jednak wiosna umaiła już pola zielenią, obsypała owocowe drzewa białem kwieciem, żywiczną wonią napoiła powietrze. Na jej cześć, czy na pożegnanie słońca rozbrzmiewał wśród gęstwy leśnej świegot ptactwa, a stamtąd gdzie pojedyncze brzozy jaśniały świeżą zielenią na ciemnem tle boru dolatywało wołanie kukułki.

A kiedym przeszedł na drugą stronę wzgórza, ujrzałem przed sobą płytką dolinę, przerżniętą małym potokiem Czarnej Orawy, która niedaleko stamtąd wśród mokrych łąk brała początek. Obok potoku biegła biała wstążka drogi, wzdłuż której stały dachami dymiące, z braku kominów, ubogie chaty góralskie. To Harhabuz.

Szaro tu jeszcze. Znać, że niedawno stąd odeszła zima, co włada jeszcze tam na śnieżnych szczytach Babiej Góry i Pilska, siniejących na zachodzie. Czasem nieśmiało odezwie się jakiś ptaszek, jakgdyby bał się zanucić w tej krainie pieśń wiosny i wesela. Powietrze nie tak wonne jak wśród spytkowickich sadów, lecz za to czystsze górskie. Bo też i ta wioska, na którą spoglądam, leży znacznie wyżej jak poziom dolin górnej Raby i Skawy. Niedługo z niej trzeba iść na szczyt grzbietu na którym stoję. Powoli na niebie zaczynają świtać gwiazdy, starucha Babia Góra owinęła swe czoło czepkiem mgieł i duma o losie pogrążającej się w sen orawskiej krainy, nad którą noc rozściela czarny całun.

MARJAN GOTKIEWICZ.

Nie pomnę już...

Szedłem podówczas, nie pomnę już
Od jakich krajów, jakiemi drogi
Z za jakich gór, z za jakich mórz
Niosły mię wówczas pielgrzyma nogi.
Noc była głucha, cicha jak głaz,
Wiatr kędyś zasnął w konarach drzew,
Żadnym się szmerem nie ozwał las,
Żaden się w boru nie ruszył wiew.

Nagle — jakiś się z łomotem zerwał wielki szum
I rozbudził w śpiącym borze melodję dum
I wypłoszył graniem wichru senne orły z gniazd
I uderzył, niby mieczem, w srebrny namiot gwiazd,
— Polska! Polska! — zaszumiało w przebudzonym borze,

Zbladły gwiazdy, na niebiosach zapłonęły zorze
A głos niósł się ponad światem jak piorunny grzmot,
Echem dźwięczał po ziemicy, jak Tytanów młot,
Giął ku ziemi czoła dębów, zmącił cichy staw,
Nad krzyżami się odezwał wśród mogilnych traw,
Kędyś dzwonów nad krainą ozwały się grania
I rozlegał się wokoło płacz zmartwychpowstania.

Hej! skądżeto w tobie głosie ta fatalna moc,
Że od niej gwiazdy bledną i truchleje noc,
Hej! skądżeto w tobie głosie ten ów twórczy szał,
Z którym idziesz od fal morza aż do Tatrów skał,
Iż przed tobą, sławny głosie, kłaniają się drzewa,
Dzwon gdzieś bije, nad mogiłą pieśń wskrzeszenia śpiewa!?
A głos niósł się wyżej... dalej, hen! w słoneczną dal
I obudził huf rycerzy wśród kwiecistych hal,
A gdy wstali jaśni w zbrojach, lśniących jak ten śnieg
Wtedy głos ów na ich barkach skamieniały legł,
Nad Tatrami ozwały się orłów ranne skwiry
A po świecie szły o Polsce, hej! przesławne hyry!

Ja szedłem wówczas, nie pomnę już
Kiedy to było i gdzie to było
Czy nocy jakiej w poszumach burz
W tęsknotach snów mych, czy w blaskach zórz,
Tak mi się tylko pięknie śniło
Nie pomnę już...

TADEUSZ SEWERYN (Tomaszów Maz.).

Ludowe figurki Chrystusa Frasobliwego.

Zna je każdy. Omszone, chrome, patyną lat pokryte, zaokrąglone w kształtach próchnem i zbutwieliną. Gdzieś na tle modrego boru lub złocistych jaskrów, na krzyżach przydrożnych, wepchniętych między cztery srebrnolistne wierzby, pod drewnianym lub blaszanym okapem nasłupnych kapliczek z ganeczkiem filarkowym z przodu. Znalazły schrony we wnękach, wyciętych w południowej ścianie chat, w zdrowych dziuplach okazałych drzew, w rozwidleniach sędziwych sosen, dębów i topoli przydrożnych. Wznoszą się z czworobocznych ogrodzeń umajonych głogiem lub berberysem, z ogródków zasadzonych malwą, wrotyczem, dziką różą lub „złotogłowiem" — dumają pod baldachimami omszałych daszków, wspartych na kształtnych słupkach. Zamieszkały w drewnianych lub murowanych kapliczkach na rozstaju, w kruchtach kościelnych na kamiennem podmurowaniu i tam siedzą pokryte kurzem lub zczerniałe od pobożnych pocałunków. Wyłaniają się z domowych kropielniczek, wyrobionych z czerwonej gliny i polewanych żelaziście. Występują plastycznie z mięczonych po rzeźbiarsku kafli, wetkniętych w ubożuchne, nadrzewne kapliczki, które dziewczęta stroją w wonne zioła, kwiaty i wianki, a pobożni przechodnie obwieszaja ex voto medalikami.

Bratają się z tym świątkiem boleściwym Wandy Szrajberówny, który na niedawnej Międzynarodowej Wystawie w Paryżu przytulił się do drzewa, co rosło na miedzy pomiędzy kioskami Polski a Bolszewji.

Jest to owiana przedziwnym urokiem, zgięta w pałąk, siedząca, smętna postać boleściwego Chrystusa, który, jak zmęczony, stroskany wędrowiec, wsparł skołataną głowę na prawej dłoni, jakby gdzieś z pod-

wyższenia kłopotał się ludzkiemi losami. Figurka ta znana jest w Polsce pod nazwą „Chrystusa Frasobliwego“, „Boleściwego“, „Bolejącego“ lub „Miłosiernego“. W ziemi krakowskiej nazywano go ongiś „Chrystusem Dumającym“ lub „Świętą Turbacyją“, na Żmudzi nosi miano wyprowadzone z polskiego języka „Smutkielis“ lub „Smutkialis“. Na Podhalu i w Beskidach zwie się poprostu „Poniezusickiem“.



Chrystus Frasobliwy przy drodze na Orawę, między Czarnym Dunajcem a Piekielnikiem. (Fotografję posiada artysta-malarz J. Świeży).

Zna go i pogranicze Spisza i Orawy, zna Małopolska, Podole, Podlasie, Mazowsze, Litwa i Pomorze. Rzec można, iż zasiąg tej małej figurki określa teren etnograficzny Polski. Nie znają go nasi sąsiedzi. Jest to twór cierpiącej duszy ludu polskiego. Tak odczuwał go Jan Rembowski w notatce swojej w „Świetle“ (1920 Nr IV). Nie jest to łamiący się z sobą „Chrystus na pustyni“, ani „Chrystus u słupa“, „Upadający pod krzyżem“ w drodze na Golgotę lub modlący się w „Ogrojcu“. Sceny takie, wyczytywane w Piśmie Św. tworzyła sztuka obcych narodów. Nasza figurka nie odpowiada żadnemu momentowi życia Chrystusa. Oto jak „uzdajał“ sobie nasz lud „lutościwego“ Boga: w udręce i uznojeniu, w kornej rezygnacji, bierności i poddaniu się. Takim był lud nasz w głębi duszy swojej i tak wyobrażał sobie Boga. Oto dola chłopska cicho i głęboko zadumała się w świście ekonomskiego batoga.

Powiadają niektórzy, że to chłop polski nauczył się od Niemców takiego „Frasobliwego“, gdyż na okładce łacińskich pieśni passyjnych

Benedykta Musofila znajduje się takiż sam typ „Frasobliwego“ i to niebylejakiej roboty, jeśli nosi podpis: Passio Christi ab Alberto Dürer Aurenbergensi effigiata... Dlaczego jednak lud nasz nie nauczył się z rytów Dürera, wykonanych w latach 1509—1511, rzeźbić Adama i Ewę, Wygnania z raju, Rozstania się Chrystusa z Matką, Chrystusa-ogrodnika i t. p.? Bo nigdy nie zetknął się z łacińskiemi pieśniami Musofila.

Wyjątkowo tylko Chrystus Bolejący przemawia u nas nieludową mową. Takim jest Dumający-Zwycięzca na szczycie latarni kopuły ko-

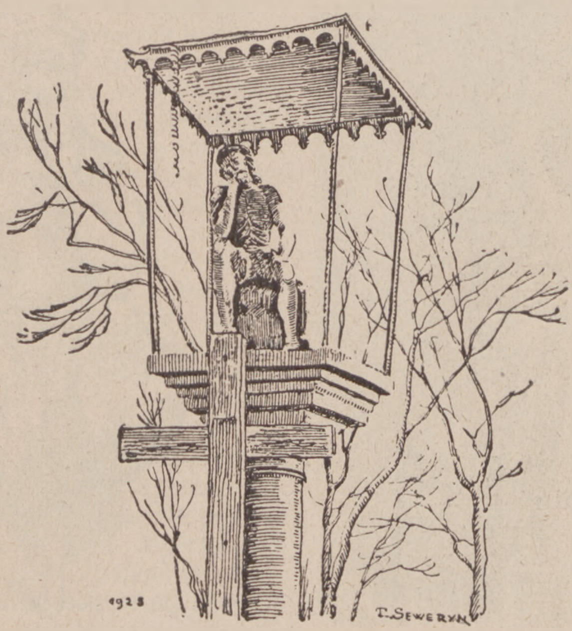


Figura Bolesciwego Chrystusa w Opocznie.

ścioła Boimów we Lwowie, takim Bolesciwy-Salvator na wyniosłej kolumnie na katedralnym cmentarzu w Kamieńcu Podolskim lub Frasobliwy w majestacie Chrystus pod triumfalnym łukiem barokowej kaplicy w Lublinie. Naogół jednak typ naszej figury tworzył lud.

Najwięcej tych świątków spotyka się w Małopolsce. Na Litwie zniszczyły ich wiele prawdopodobnie prześladowania religijno-narodowe po r. 1863, kiedy to specjalne zakazy zabraniały stawiania figur przydrożnych, krzyżów i kapliczek. Żandarmerja dostawała naówczas rozkaz wyrębywania siekierami tych ubogich chramów pobożnej myśli, drewnianych oznak „oporu“. Gdzieindziej znowu dokonała ich zniszczenia niedawna wojna, chorobliwa manja niektórych zbieraczów swojszczyzny, a wreszcie najwięcej nieubłagany czas, bo dzisiaj lud, zafrasowany materjalnemi sprawami dnia codziennego, nie tworzy „Frasobliwych“. Te jednak figurki, które pozostały, sprzęgły się z czystym charakterem wsi polskiej, że trudno jej sobie wyobrazić bez tych przydrożnych okras, bo

„ka ino spojrzeć drogom idącemu wsiowom,
„wszędy dojrzy figurę, tu starom, tam nowom,
„kazda grubso topola, wierzba i przypłocie
„wprasa świętom opatrzność znużonej tęsknocie —
„Chrystuski frasowne, Matkiboskie zielne,
„Barbary, Floryjany i święte kościelne,
„których się wypierają wszyćkie kalendorze...



Chrystus Frasobliwy wykonany przez świątkarza, Wincentego Dydyńskiego z Żabna koło Tarnowa. Oryginał znajduje się w Muzeum Etnograficznym na Wawelu



Chrystus Frasobliwy z okolic Kraśnika, wykonany przez żołnierza polskiego po r. 1863. (Fotografię rzeźby posiada artysta-malarz W. Ziółkowski w Lublinie).

Tak widział wieś polską Emil Zegadłowicz w pięknej „Balladzie o powsinodze beskidzkim świątkarzu, o Bogu prawdziwym i Chrystusie frasobliwym, rzeźbiącym świętego Wowra“. A jeśli kogo wypierać się mogą „wszyćkie kalendorze“, to nie tych Świętych Janów, Józefów, Kazimierzów, Jerzych, Katarzyn, Barbar i Rozalij, lecz chyba tej naszej figurki „Frasobliwego“, w której „Bóg swe serce człowieczy w drzewinowem ciele“, bo nie usprawiedliwia jej żadnem zdaniem Nowy Testament, ani nie użycza jej życiowej treści żadne słowo apostołów. A jednak — posłuchajmy, jak szczerze polski duch religijny żywie w drewnianem łonie tej małej figurki.

WŁADYSŁAW SPERCZYŃSKI (Poznań).

Miłosław.

Nad torem kolejowym Krotoszyn—Gniezno leży na wzgórzu skromna mieścina, chlubnie znana całej Polsce; znają ją Polacy w Małopolsce, na Litwie nawet w Sewastopolu, o czem miałem sposobność przekonać się podczas wojny światowej. Czem zasłużył sobie Miłosław na to dobre imię? Z punktu widzenia geograficznego nie różni on się niczem od tylu innych miasteczek wielkopolskich. Leży na terenie moreny dennej w dorzeczu Warty. Miłosławka, mały strumyk, dawniej Szywrą zwany, wije się na dnie dawnego jeziora w wąskiej dolinie dyluwjalnej; z trudem przepycha swoje wody przez podmokłe łąki i okazuje chęć utworzenia tu jak ongiś błotnistego jeziora, co mu się wiosną i jesienią udaje, kiedy jego suchotnicze życie zasilają deszcze silniejsze i wody roztopowe. Grube torfowiska wkoło Miłosławia są wyraźnym dowodem, że tu przez długi okres czasu trzymały się wody. Ostatecznie usunęła je kanalizacja. Na południowej stronie pod Mościskami występuje ruda bagienna, lecz w tak małej ilości, że jej eksploatacja nie opłaca się. Pozatem okolica jest lekko sfalowaną moreną denną, na której gdzieniegdzie nasadzone są ozy, jak np. góry Gorzyckie, lub zandry, jak pod samem miastem. Kilkakrotnie stwierdzono już w odkrywkach, jak i przy kopaniu studzien uwarstwowane piaszczyste pokłady świadczące o utworach lodowcowo-rzecznych.



Pomnik Słowackiego w parku p. W. Kościelskiego w Miłosławiu

Krajobrazowo najładniejsze są zalesione góry Winnogórskie. Jestto prawdopodobnie odosobniony szczątek moreny czołowej, leżący równolegle do doliny dyluwjalnej, wijącej się u jej stóp. Winnogórskie wzgórza tworzą wał dwukopułowaty, który się składa z margli, żwiru i narzutowych kamieni różnej wielkości — a wszystko jakby zlepione wapnistą gliną. Tu zatrzymał się prawdopodobnie lodowiec dłużej, tak, że zdążył usypać do 105 i 96 metrów sięgające pagórki, które zostały już częściowo rozebrane, gdy potrzebowano żwiru do budowy drogi żelaznej. Okolica jest tu i ówdzie pokryta borem rosnącym i tylko pod Czeszewem znajduje się piękny las dębowy przez rząd ochraniany i starannie pielęgnowany. Jezior brak zupełnie.

Chlubną sławę, którą Miłosław się cieszy zawdzięcza swej roli historycznej. Nazwa pochodzi prawdopodobnie od imienia słowiańskiego „Miłosław“. Istnieje od dawnych czasów, o czem świadczą wykopaliska, które często napotykano na wzgórzach w okolicy. W średniowieczu leżał Miłosław nad traktem handlowym Środa—Pyzdry. Dlatego odbywały się tu zjazdy szlachty polskiej; w okolicy polowali królowie, a później przechodzili żołnierze napoleońscy. Wyrok Kongresu Wiedeńskiego zerwał stosunki Miłosławia z Pyzdrami, oba miasteczka rozdzieliły słupy graniczne. Perfidny ten podział istniał tylko na mapie, nie w sercach obywateli.

Złotemi literami wpisał się Miłosław w historję Polski przez zwycięstwo, jakie tu właśnie odnieśli powstańcy nad Niemcami w roku 1848. Pod Miłosławiem szli jak ongiś pod Racławicami kosynierzy z kosą na armaty i na kawalerję niemiecką, rozpędzając ją w panicznym popłochu na cztery wiatry. Co z punktu widzenia wojskowego wydaje się niemożliwością, odwaga i werwa żołnierza polskiego uczyniła faktem.

Na drodze z Winnogóry do Miłosławia ustawił pruski generał Blum swoje kolumny piechoty, kawalerji i artylerji. Tuż pod miastem na cmentarzu i pod stodołami czekali na Prusaków polscy kosynierzy, ułani i artylerja. Wszyscy przebrani byli jak w karnawale, brak był bowiem jednolitych mundurów. Artylerja polska miała aż trzy pełne kule na cztery armaty, gdy Niemcy byli wzorowo umundurowani i uzbrojeni. W pierwszym impecie wyparli Prusacy naszych z stanowisk i posuwali się za nimi, aż poza miasto w stronę Kozubca. Lecz gdy nadszedł Białoskórski z Nowego Miasta z pomocą, bitwa rozstrzygnęła się na naszą korzyść. Odwrót kosztował wroga wiele ofiar, bo ukryci w domach powstańcy otoczyli zbłąkane grupy i po zaciętej walce oczyścili miasto od wroga. Wspólna mogiła pod kościołem kryje poległych. Strzelali Niemcy wówczas i do orła białego, który rozskrzydlony przetrwał na kościele czasy niewoli, dzięki starannym zabiegom ks. prob. Bogdańskiego.

Pamiętny jest także rok 1899, kiedy przy odsłonięciu pomnika Słowackiego w parku Władysława Kościelskiego wypowiedział Henryk Sienkiewicz owe słynne słowa o mowie polskiej. Później zasłynęła dziatwa miłosławska przez swą wytrwałość, jaką okazała, gdy rząd pruski chciał ją zmusić do uczenia się religji w języku niemieckim. Znów pod murami kościoła zebrała się młódź, prosząc Boga o zwycięstwo, gdy żandarm pruski spędzał ją przekleństwem i kijem. Doczekał się wreszcie Miłosław zwycięstwa w roku 1918. Ta sama młódź już dorosła utworzyła kompanję miłosławską i dzielnie bijąc się pod Szubinem na froncie północnym, pomogła spełnić sen przeszło stuletni o wolności. Miłosław zawsze swobodnie komunikuje się z Pyzdrami. Nie dzieli go od reszty Polski żadna granica.

STANISŁAWA NIEMCÓWNA (Kraków).

Z moich wędrówek[1]).

(Listy z podróży do Egiptu).

VI.

8—12 kwietnia 1925. Przed wyjazdem z Kaira na wielką wycieczkę kongresową miałam sposobność dwa dni spędzić w pustyni Arabskiej. Pierwszą wycieczkę odbyłam do Wadi el Tih w Wielki Piątek, a drugą w samą Wielkanoc do Wadi Hof. Wędrowanie po pustyni żwirowej przeważnie lub skalistej nie jest rzeczą zbyt uciążliwą, na dowód przytoczę tylko, że całodniową wycieczkę prawie całą odbyliśmy pieszo, a osły i poganiacze ciągnęli powoli za nami.

Celem tak jednej jak i drugiej wycieczki było zapoznanie się z budową morfologiczną tego pogranicza pustyni, zamykającego dolinę Nilu od wschodu. Rankiem w Wielki Piątek zaopatrzeni w skromne śniadanie, jak to przystało na dzień postu, ruszyliśmy z pod Cytadeli górującej nad Kairem ku wzgórzom Mokattamu. Jest to wzniesienie przeszło 200 m wysokie, zbudowane z numulitowego wapienia. (Prawda, że nie potrzebuję szczegółowiej objaśniać, bo numulity znacie chociażby z wycieczek w Tatry). Wapień ów bardzo zbity, o barwie czerwonawej w miejscach silnego przepalenia przez słońce, jest pochodzenia trzeciorzędowego; ma on duże zastosowanie w budownictwie Kaira i dlatego uderza wielka liczba łomów u progu wzniesienia. Mijają nas też liczne wielbłądy obładowane blokami skalnemi, które w ten sposób transportuje się na miejsce przeznaczenia. Powoli osiołki obciążone naszemi osobami wydostają się na wierzchowinę Mokattamu. Zatrzymujemy się chwilę chcąc wzrokiem objąć całość krajobrazu. U naszych stóp rozszerzająca się deltowo dolina Nilu srebrzy się wodą rzeki w obramieniu zielono-złotych uprawnych pól i gajów palmowych.

Nad brzegiem Nilu zarysowuje się w planie podłużnie miasto przytulone jednostronnie ku wzgórzom Mokattamu i ku wzniesieniu Cytadeli. Wir wązkich uliczek, płaskie dachy i gwar uliczny z dołu dochodzący świadczy, jak gęsto zaludnione jest to skupienie osad ludzkich narastających w czasie i przestrzeni. Charakterystycznie n i e uderza w krajobrazie żaden ślad rozwoju życia przemysłowego w formie fabryk i kominów. Na horyzoncie w promieniach słonecznych kąpią się piramidy w Gizeh i te z Sakkarah widoczne i liczne inne nad doliną Nilu z powagą rozsiadłe,

Poza nami ku wschodowi ciągnie się prawierównia żwirowej pustyni, po której truchcikiem oślim zaczynamy zmierzać ku celowi naszej wycieczki ku skrzemieniałemu lasowi leżącemu w głębi mokattamskiego wzgórza.

Nikt z nas nie znał dokładnie drogi, a mapy w Egipcie są bardzo niedbale wydawane. Nie można tu nikogo winić, bo odpowiedni urząd do zdjęć topograficznych całego Egiptu rozporządza a ż t r z e m a pra-

---

[1]) Jest to dalszy ciąg listów p. dr. St. Niemcówny, profesorki państw. Gimn. żeńsk. w Krakowie, które pisała do swoich uczenic z kl. VI C, t. zw. „Cesiek". Patrz „Orli Lot" z r. 1925 str. 90, 114, 130.

cownikami. W każdym razie okolice stolicy powinnyby mieć mapy staranniej wykonane.

Dzięki tej nieznajomości drogi nikt z nas nie spodziewał się „cudowności“ krajobrazowych, jakie nas po drodze czekały. Jedziemy więc najspokojniej — wtem — dosłownie grunt się nam pod nogami urywa



Wieś arabska.

i stajemy nad stromem do 80 m głębokiem wadi — czyli suchą doliną. Dolina owa, silnie się wijąca, ciągnie się przeszło na 1 km drogi, a dzięki stromym czerwonawym ścianom oraz oświetleniu słonecznemu i zacienieniu od strony wschodniej kanyonu robi na nas mocne, groźne wrażenie. Potęguje je jeszcze brak wszelkiej roślinności, brak życia i cisza dominująca nad całością krajobrazu. I oczy — widokiem i uszy — ową ciszą poją się do syta. W naszej nielicznej gromadce słowiańskiej powoli pieszo spuszczamy się w głąb owego wadi, chcąc dosięgnąć obszaru zacienionego i tam spocząć i nieco pożywić. Arabsko-murzyńscy przewodnicy natychmiast kładą się na ziemi, wykorzystując nawet cienie osiołków, zagryzających przyniesioną ze sobą strawę. Mahometanie nie jedzą nic, bo to dla nich okres wielkiego postu, w czasie którego przez



WNĘTRZE KAPLICZKI POLSKIEJ NA WYSTAWIE MIĘDZYNARODOWEJ SZTUK DEKORACYJNYCH W PARYŻU W ROKU 1925.



OŁTARZ W KAPLICZCE POLSKIEJ JANA SZCZEPKOWSKIEGO NA MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE SZTUK DEKORACYJNYCH W PARYŻU W R. 1925.

cały dzień do zachodu słońca dosłownie nic nie biorą do ust nawet wody, ani papierosa. Wolno im jeść tylko wieczór i to dosyta. Ta wstrzemięźliwość całodzienna, a następnie przejedzenie się wieczorne wcale dobrych nie daje rezultatów zdrowotnych.

Wijąc się doliną w cieniu skał dosyć szybko wydostajemy się ku szerokiej płaszczyźnie piaszczystej, może dawnej dolinie Nilu, może tylko zasypanej zapadłości tektonicznej. Jej kraniec wschodni wykazuje dużo śladów skrzemieniałych drzew, a prócz tego układ nieco zaburzony warstw pozwala się domyślać, że zachodziły tu jakieś ruchy w dawnych geologicznych czasach. Ów las skrzemieniały nie robi tego wrażenia jakby to można było przypuścić wnioskując z efektowności nazwy. Wędrujemy więc dalej już szczerą pustynią robiąc obserwacje bardzo drobnych szczegółów krajobrazu.



Cytadela w Kairze.

Jeszcze czekało nas jedno prześliczne odkrycie, a taksamo niespodziane jak uprzednio widziana dolina. Jadąc, a częścią pieszo idąc ustawicznie w kierunku wschodnio-południowym dotarliśmy do wspaniale wykształconej doliny Wadi el Tih. Stoki dolinne tworzyły skały o uwarstwieniu poziomem, chociaż tu i owdzie wyruszonem z układu horyzontalnego. Z pod pokrywy piaszczystej dna doliny wydobywały się, czy też sterczały jak szczątki, wzniesienia o typie gór stołowych. W promieniach zachodzącego słońca wszystko mieniło się barwami czerwieni i złota. Uroku całemu krajobrazowi napewno dodawały moje czarne szkła pustynne, przez które często świat się wydaje piękniejszy, niż gdy nań patrzymy gołem okiem.

Zdobyte na tej wycieczce doświadczenie zachęciło mnie bardzo do korzystania z każdej sposobności wtargnięcia w głąb pustyni, tak potężnej i zróżniczkowanej w ujęciu krajobrazowem. W samę Wielkanoc jedziemy do Heluanu do polskiego pensjonatu, gdzie nas czeka święcone, ale ranne godziny możemy łatwo wykorzystać na wycieczkę do Wadi Hof. Istotnie nawet dziesięciokrotny trud opłaciłby się wędrującym.

Wadi Hof, piękna dolina pustynna, leży na północny wschód od Heluanu, ważnej klimatycznie miejscowości. Bardzo charakterystycznem w krajobrazie jest występowanie pogłębionych na kilkadziesiąt metrów meandrów doliny głównej, szereg dolinek wiszących, stożków nasypów i innych form, które wskazują, że cała ta scenerja pustynna zawdzięcza swe powstanie wcale nie pustynnym czynnikom, lecz raczej rzeźbiącej

pracy wód płynących. I zagadnienie genezy i piękno form jest tak pociągające, że rozsiadamy się nad wadi w słońcu nie dbając o temperaturę powietrza znacznie przekraczającą +30° C. Swoim zwyczajem nie biorę czynnego udziału w dyskusji, lecz przysłuchuję się, jak do zagadnienia odnoszą się inni, zwłaszcza oficjalni przedstawiciele nauki polskiej, licznie na tej wycieczce zebrani. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW WOŹNOWSKI (Krzemieniec).

Czeremoszem do Żabiego.

Podróż na t. zw. „spławach“ t. j. tratwach zbitych z belek na Czeremoszu obfituje w tak wielką liczbę wrażeń, że do końca życia utkwi w pamięci temu, kto choć raz jej zakosztował.

Rzeki górskie nie nadają się do żeglugi wogóle z powodu zmienności swego wodostanu, a nawet spław drzewa niemi jest w niektórych porach roku utrudniony. Dla powiększenia ilości wody w rzece na czas tego spławu służą t. zw. klauzy. Są to silne tamy zbudowane z drzewa i kamieni ze śluzami w środku, zamykające górną część i dopływy rzeki, po której spławia się drzewo. Wskutek zamknięcia śluzy w klauzie, górski potok zalewa całą dolinę, tworząc malownicze, sztuczne jezioro np. w Szebenem, na południe od Pop Iwana, jednego z najwyższych szczytów czarnohorskich. Gdy spławy podpływają do ujścia zamkniętego dopływu rzeki, wtedy, na dany telefonicznie znak otwiera się klauzę i wypuszcza wodę, która zasila rzekę główną i podnosi w ten sposób w niej poziom wody. Spławianie drzewa odbywa się na obu Czeremoszach, Białym i Czarnym a ostatnią klauzą na tym ostatnim jest ogromna, o dwóch śluzach w Łustunie. Jest to już ta zupełnie bezludna część tego t. zw. przez W. Pola „Rozroga“, klina wciśniętego w Rumunję. Dom, w którym mieszka dozorca klauzy, to ostatni stale zamieszkały w tych stronach. W górę rzeki ciągną się już tylko lasy i połoniny. To też mieszka na tem odludziu stary dziwak, Polak, zwany powszechnie „Franiem“. Znalazł on ukojenie po nieszczęściach rodzinnych tu w tych górach, które ukochał i za żadne skarby świata nie powróciłby w niżne regjony, gdyż nie lubi ludzi. Nie cieszą go, jak innych, nieliczni w tych stronach goście, ale nie daje im tego odczuć. Kto zaś wybrał się w te bezludne strony, musi chcąc nie chcąc prosić go o gościnę, gdyż brak w sąsiedztwie innych domów.

Spławy jednak odchodzą przeważnie z następnego etapu, z placu przed gajówką w Papadinen. Tam też trzeba się udać pieszo, aby odpłynąć do Żabiego. Nad rzeką, która w tem miejscu ma tamę, przerwaną w pośrodku dla umożliwienia wydostania się tratwom z tego jakby portu, rozpościera się olbrzymi plac, zawalony drzewem. Każdy pień ma swój znak, np. niebieski lub czerwony, wskazujący przynależność do pewnej firmy.

Napisy na placu objaśniają, jakie to firmy, a więc: Goetz i Ska i „Galicyjska Spółka Drzewna“. Przy drzewie, należącem do jednej i drugiej firmy, widzimy semickie twarze, żydowski więc ich charakter

nie ulega żadnej wątpliwości. W „porcie“ kilka tratew, złożonych z 4—7 części, powiązanych ze sobą.

Zamówiony poprzedniego dnia hucuł, przysposobił jako tako do drogi swoją tratwę, przygotowawszy siedzenie z kilku belek umocowanych kołkami i wymościwszy część tratwy pod nogi choiną. Trzeba bowiem wiedzieć, że tratwa zalewana jest w czasie podróży przez wodę. Hucuł nic sobie z tego nie robi, na zbitych palach wiesza odzież, tudzież „berbenicę“ (beczkę) z innemi rzeczami, ale przygodni jego towarzysze podróży musieliby stać na tratwie boso, gdyby nie te nadzwyczajne do niej dodatki, które trzeba poprzedniego dnia zamówić. Gdy jadą całe wycieczki, urządza się specjalne ławki, ale dla mnie, jednego pasażera taki „komfort“ nie opłaciłby się. Stawiłem się punktualnie o 4 godz. na miejscu, ale mój sternik barczysty, o jednem oku, małomówny hucuł nie kwapił się z odjazdem. Czekał bowiem na większą ilość wody, którą wspomniany poprzednio „Franio“ wypuszczał z klauzy w Łustunie. Nareszcie uznał ilość wody za wystarczającą, przy pomocy kilku hucułów i młodego chłopca, który się do nas przyłączył jako pasażer, odepchnął tratwę na środek rzeki i jazda! Powitałem tę chwilę z przyjemnością, gdyż znudziło mi się już czekanie. Tratwa popłynęła rzeżko z nurtem rzeki, a sternik ująwszy w swe wytrawne dłonie ster (tratwa składała się z 4 właściwie powiązanych ze sobą drutem tratw, więc miała tylko jeden ster na przodzie, złożone z większej liczby członów mają 2—4 sterów), spokojnie skierował ją na środek rzeki. Jazda spławem nie należy do całkiem bezpiecznych; są na rzece liczne progi skalne, spowodowane występowaniem nagłówków warstw twardszych, na których słabo spojona tratwa może się rozlecieć, a podróżni narażeni są na kąpiel. Może też tratwa uledz rozbiciu tam, gdzie rzeka uderza o stromy skalisty brzeg, albo najechać jedna na drugą, co dla życia podróżnych nie byłoby zbyt bezpieczne Również przy zatrzymaniu się na progach może z luźnie spojonych części nasunąć się jedna na drugą i przygnieść podróżnych. Na razie nic takiego nie groziło i spokojnie płynęliśmy dalej, mijając Stefulec z nowo zbudowaną gajówką i źródłem mineralnem po drugiej stronie. Obecność źródła zdradza żółtawy osad. Przejeżdżamy popod mosty, które nieraz umieszczone są tak nisko, że trzeba się schylać, aby nie zawadzić o nie głową. Tratwy, zwłaszcza te tylne (bo siedzimy na pierwszej) wydają głuchy łoskot przy przebywaniu części płytszych rzeki o wystających kamieniach, lub tam, spiętrzających wodę. Chociaż mają one w środku zagłębienie dla tratew, ale i w tem miejscu mają niski próg z kilku belek złożony. Tratwa przy przepływie przez niego zanurza się przodem w wodę, a tylne człony z powodu zatrzymania się pierwszego uderzają o niego i nasuwają się częściowo. Nieraz boczne belki zawadziwszy o ścianę tamy nasuwają się na resztę z boku tak, że tratwa jakby się zwijała. Tam, gdzie woda spokojniejsza, sternik opuszcza ster i przywraca nieposłuszne belki siekierą, która wbita sterczy na przodzie tratwy, do porządku. Przejeżdżamy następnie popod Czywczynem, którego wierzchołka niestety stąd nie widać.

Sławne to niegdyś było miejsce z kopalni srebra; dziś tylko wspaniała jego trawą pokryta kopuła dominuje nad innemi szczytami Rozrogu, gdyż jest to po głównym grzbiecie Czarnohory najwyższy szczyt.

Mijamy dalej Burkut.

Zakład kąpielowy dziś opuszczony zupełnie, dzięki brakowi komunikacji, mieści tylko straż celną. Strażnicy odbudowali go po wojennem zniszczeniu i znaleźli tu wcale wygodne schronienie. Szkoda wielka, że to jedno z najsilniejszych źródeł mineralnych w Polsce tak się marnuje, a my wydajemy tysiące złotych na wyjazd do zagranicznych kąpieli! A trzeba pamiętać, że oprócz tego głównego, jest jeszcze w pobliskich górach cztery, o których tylko miejscowi ludzie wiedzą. Przed zakładem znajduje się niewielki cmentarz wojenny z zachowanym do dziś dnia napisem.

Dojeżdżamy następnie do Szebenego, mijając pierwszą prawdziwie stale zamieszkałą zagrodę, bo te powyżej leżace, chociaż przez cały rok zamieszkałe, zbudowane zostały przez firmy eksploatujące lasy lub przez ich właścicieli. Dolina Czeremoszu tutaj rozszerza się. Z lewego boku przyjmuje duży dopływ o tej samej nazwie co miejscowość.

Wspomniana na początku klauza dostarcza wody więcej niż główna rzeka. Na prawo odbiega drogą przez malowniczą przełęcz Watonarkę do drugiej wielkiej (obok Żabiego) wsi huculskiej, Hryniawy. Szebene osadą właściwie nie jest, chociaż szeroka dolina' pozwoliłaby na jej założenie tutaj. Jest tam tylko nadleśnictwo rządowych lasów, leśniczówka, komisarjat straży celnej i dwie chaty zamieszkałe tylko okresowo. Znajdujemy się u podnóża Pop Iwana najwyższego po Howerli szczytu Czarnohory, ale nie widzimy go, bo zasłania nam widok leżąca przed nim góra Gropa.

W dalszej drodze ukazują się nam po lewej ręce stajki, jedne z nielicznych skalistych szczytów w Czarnohorze. Prześlicznie wyglądają te trzy sterczące skały połączone ze sobą lekko wygiętą linją grzbietową. Po przeciwnej stronie potoku Podorowatego czerni się stromą ścianą świerków Skoruszny. Czeremosz zatacza tu ogromne koło. Po jego przebyciu głuchy ryk belek ocierających się o skały, zwiastuje nam obecność pierwszego „berda“ (progu skalnego) koło przysiółka Zielonego. Mijamy jego zaciszną cerkiewkę i znajdujemy się już w okolicy zamieszkałej. Nad rzeką i na zboczach gór piętrzą się już wcale liczne, poczerniałe ze starości domki huculskie o szerokich dachach i charakterystycznych ganeczkach. Dalej za Zielonem domy rzedną a widać tylko lasy po zboczach. Przysiółki Dzembronia, Bystrzec, leżą w głębi bocznych dopływów Czeremosza, zakryte zakrętami przed okiem widza. Za ujściem potoku Bystrzca zaczyna się najniebezpieczniejsza część drogi; rzeka tworzy liczne „berda“, przelewając się z szumem po twardych progach skalnych. Dolina staje się węższą, brzegi bardzo strome, a rzeka uderza z hukiem o skaliste brzegi. Sternik musi zręcznie manipulować aby nie wjechać na wystającą skałę albo nie dać się porwać prądowi wody i nie uderzyć o brzeg skalny, bo to groziłoby rozbiciem. Nie znać jednak na jego twarzy żadnej obawy chociaż pływające tu i ówdzie belki z rozbitych tratw przypominają na każdym kroku grożące rozbicie. Tratwa wygina się, pochyla w dół i przodem uderza o dno, to znów wydaje głuchy odgłos przy zetknięciu z podwodnemi skałami ale trzyma się razem. Wtem trzask — czuję, że woda zalewa całe moje siedzenie — sternik po kostki w wodzie i gwałtownemi ruchami kieruje tratwę w inną stronę. Zdawało mi się, że tratwa już się rozleciała, ale nie było tak źle. Najechaliśmy tylko z siłą na większą skałę i moje siedzenie się roz-

leciało, tratwa — jak zwykle przy przebywaniu progów tylko nieco głębiej tym razem zanurzyła się pod wodę. Urwała się tylko z tylnej części jedna belka ale flisak złapał ją i położył na wierzchu. Tak to tylko częściową kąpielą, ale naogół szczęśliwie skończyła się przeprawa przez najgroźniejsze „berdo". Rzeka robi jeszcze kilka zakrętów i oto jesteśmy w Żabiu-Ilci. Na wysokim brzegu wzdłuż rzeki i drogi rozłożyły się szeregiem domy, ale porządniejsze i obszerniejsze niż zwykłe huculskie chatyny. Widać w nich też i drobne sklepy. Należą one już nie do huculów ale do Żydów, którzy dość licznie ten przysiółek zamieszkują. Właściwie to nie przysiółek ale centrum Żabiego się zaczyna. Są tu bowiem niektóre urzędy np.: Urząd gminny, Komisarjat straży celnej, cerkiew filjalna. Główne jednak centrum Żabiego to Słupejka, 4 km dalej położona. (Właściwie cała tu opisana droga odbywała się na terenie wsi Żabiego, która zajmuje połowę całego „Rozroga).

Przewoźnik mój jedzie ze spławem aż do Kut a tam na granicy oddaje go w inne ręce, potem wraca do domu, drzewo zaś idzie aż do Rumunji, aby służyć mieszkańcom tamtych bezleśnych krain. Ja zaś chciałem wysiąść w Żabiem, skąd najłatwiej dostać się do Worochty i kolei. Trudno jednak zatrzymać spław. To też hucuł radzi mi wyskoczyć niedaleko urzędu gminnego, gdzie rzeka ma niski brzeg a wolny jej bieg w tem miejscu czyni skok możliwym. Zbliża więc tratwę do brzegu na chwilę. Nie wyskakuję odrazu, gdyż trochę dalej zobaczyłem dogodniejsze do wylądowania miejsce. Hucuł nie wiedząc o tem, zaczął kierować tratwę na środek rzeki. Oglądnąwszy się jednak i widząc mię jeszcze na niej, krzyczy: „Skoczyt pane, skoczyt!" Musiałem więc chcąc nie chcąc wyskoczyć, a że tratwa oddaliła się już trochę od brzegu, stanąłem jedną nogą po kolano w wodzie. Tak się skończyła moja pierwsza wodna podróż po Czeremoszu.

HENRY DEFERT.

Obozowanie.

(Camping).

Camping jest to turystyka zupełna i doskonała dozwalająca być wszędzie, widzieć wszystko i to widzieć należycie w warunkach nie pozbawionych ani niespodzianki, ani malowniczości i zapewniająca jak najwięcej przyjemności przy jak najmniejszych wydatkach.

Nie można zaprzeczyć, że ten sport obozowania na wolnem powietrzu zrodził się w krajach anglo-saskich i że niewiele lat temu uważano uczestników tego sportu za oryginałów, aby już nie rzec więcej. Na młodych adeptów tego nowego sportu spoglądano jak na ciekawe zwierzęta, jak na fanatyków lub dzikich powracających do trybu życia pierwotnego. Za nic w świecie matka z inteligencji nie byłaby powierzyła swych ukochanych tym nakłaniaczom z rodzaju „czerwono-skórych". Zaziębienia tak łatwo można się nabawić...

Trudno pojąć, z jaką pogardą wyrażały się o biednym turyście największe umysły ubiegłego wieku, kiedy zasiedziałość była jeszcze zwyczajem.

Najbardziej łagodni pisarze uważali za stosowne ciskać żartami pod adresem naszych w turystyce przodków, niezawsze odznaczającemi się dobrym smakiem.

Pomimo tego turystyka a w szczególności obozowanie staje się czem raz powszechniejsze, jest ono bowiem potrzebą tak dla umysłu jak i dla ciała mieszkańców miast i pracowników miejskich. Jest to zbawienne odprężenie dostępne bez względu na płeć, wiek i w jakimbądź położeniu społecznem lub intelektualnem. Inni z punktu widzenia fizjologicznego bardziej odemnie ukwalifikowani mogą powiedzieć o tych wielkich korzyściach leczenia oczyszczającego organizm od jadów w przepełnionych tlenem i balsamicznych odludziach naszych gór i dolin. Wyniki lecznicze są zadziwiające, w większości wypadków zgoła niespodziewane. Zresztą treść tego słowa: „obozowanie“ znacznie się rozszerzyła; wszystkie klasy społeczne zaczynają rozumieć dobrodziejstwa tego sposobu wycieczkowania. Tym sposobem obozowanie zaczyna wchodzić w życie podczas wędrówek odbywanych: pieszo, na kole, samochodem, łodzią a nawet w najnowszych czasach drogą powietrzną!

Całe rodziny znachodzą w niem najtańszy a najprzyjemniejszy sposób przepędzenia wakacyj. Już nierzadko spotkać można w naszych czasach pod jednym prostym namiotem ojca, matkę, dzieci i przyjaciół, którzy wcale nie są sportowcami w właściwem tego słowa znaczeniu, lecz którzy naogół w tej zbawiennej rozrywce znachodzą nadzwyczajny powab.

Szczególnie młodym należy zalecać aż do znużenia dobrodziejstwa obozowania, tego niewyczerpanego źródła zdrowia, siły i radości.

Gromadne krążenie posłuży skutecznie do zwalczania braku zaciekawienia w młodem pokoleniu. Wieluż to młodych Krakowiaków nie zna okolic Krakowa, mających tylko tę wadę, że leżą za blisko. A wieluż wreszcie zna Polskę?

A przecież jak wielką jest przyjemność wyruszyć z workiem na plecach lub z dobrze naładowanym pakunkiem na kole w całej gromadzie wesołych towarzyszów bez troski o dach i życie i dążyć na chybił trafił ku górom, lasom lub morzu i odbywać drogę według swej fantazji. opóźniając marsz w miejscach ciekawych, urządzając postój gdzie i kiedy nam się podoba i rozbijając namiot pod gołem niebem, aby się w nim przespać snem kamiennym na łożu z zeschłych traw lub liści. A jakie upojenie rankiem, gdy o świcie słońce przedziera się powoli z mgieł i wznosi się na horyzont złocąc szczyty i wnosząc światło i życie w głąb budzących się dolin. Jakie uroki i jak miłe niespodzianki w przebieganiu wnętrza krainy, w odkrywaniu zakątków nieznanych lub zapomnianych widoków i ustroni, których nie domyślają się nawet podróżni na głównej szosie lub na linji kolei żelaznej. A później z jakim zapałem otacza się kucharza obozowego i z jakim apetytem zabiera się do strawy kipiącej w garnku.

Młodzieży, nie omieszkaj, gdy możecie a także tak długo, jak możecie, nie omieszkajcie uprawiać obozowania, nie licząc prawdziwych uciech i zdrowych wrażeń, które Wam daje, odniesiecie jeszcze drugą korzyść; będzie to dla Was wyśmienitą szkołą dawania sobie rady.

Tym sposobem w zabawie zdobywacie naukę życia, zdając sobie sprawę, że ludzie w ciągu swego bytu potrzebują bezustannie jedni

drugich, bez przerwy muszą się wzajemnie odczuwać i wspierać. Będzie to dla was niemniej doskonałą szkołą wychowania fizycznego. Wasze członki nabiorą sprężystości, ciało się zahartuje, ścięgna staną się odporne z największą korzyścią tak dla rasy jak i dla Was samych.

(Je sais tout).

ST. KRYSTASIAK (Pruszków).

Echa wakacyjne z Białorusi.

Hen, na wschodnich Polski rubieżach, między Litwą z północy, Polesiem z południa a Podlasiem z zachodu Białoruś święta leży. Pasmami piaszczystych wzgórz morenowych uwypuklona, miejscami moczarawo wklęsła, lesista albo łąkami pokryta, poetycznie smutna ziemia ta, ojczyzna Kondratowicza, czekać tylko zda się prędko-li znojna dłoń kulturalnego rolnika polskiego, dawną jej świetność przywróci. Bo bezpowrotnie już pewnie minęły czasy, kiedy Białoruś górując cywiliżacją swoją nad sąsiadami, militarnie silniejszej Litwie kulturę swą dała. Dziś rodzima kultura białoruska w upadku będąc nie może iść o lepsze z kulturą krajów ościennych, a ze sfer włościańskich werbująca się inteligencja, minimalny wprost procent ludności stanowi. Słusznem więc tedy jest powiedzenie, że Białoruś w letargu duchowym niejako drzemiąc, na pracę rąk ratajów polskich czeka. I nie darmo czeka, bowiem naród polski współczucia pełnym będąc, chętnie braciom z pomocą spieszy. A jak niegdyś, przed wiekami, tenże naród z otwartemi ramionami przyjął braci Białorusinów, w prawach ich z sobą zrównawszy, tak i teraz, z niewoli się stuletniej przeszło wyzwoliwszy, nie ustaje w swej misji szerzyciela kultury zachodu i dzieli się swym dorobkiem duchowym z braćmi ze wschodu, dając im skarb największy — wolność. Różne są środki szerzenia kultury, a im dany naród bardziej jest zacofany, tym i środki owe bardziej są prymitywne. Takim środkiem pouczania Białorusinów o Polsce, były obozy harcerskie, zorganizowane przez jenerała Minkiewicza, które jedną linją ciągnęły się wzdłuż granicy wschodniej. Obozy te mając ścisły kontakt z wojskiem i ludnością miejscową, miały za zadanie jaknajgodniejsze reprezentowanie Polski i szerzenie oświaty. Będąc członkiem jednego z takich obozów, niemało też wrażeń odniosłem używając wakacyj, jak nigdy, w całej pełni.

. . . .

Jasna lipcowa noc całunem tajemniczości spowiła polską ziemię. Poprzez piaszczyste równie mazowieckie mknął pociąg mijając pola, pastwiska i łąki, rowami i rzeczułkami wzdłuż i wszerz pocięte, z kępkami drzew tu i ówdzie; tudzież wsie i zagrody włościańskie, nad któremi straż trzymają topole nadwiślańskie, nad których koronami, niby zwiewne mgieł tumany, chmary się białych ciem unosiły. Wśród powszechnego spokoju szeroko się szczękliwy turkot pociągu rozlegał, a monotonję podróży jedynie głos konduktora, miejscowości zapowiadający, przerywał. Więc: „Reembeerrtóów“ — i myśl pracować zaczyna — „acha, to tu są pola ćwiczebne artylerji, a przed duszy oczyma przesuwają się kadry rembertowskie w takt melodji „Rembertów to żołnierska nuta“ sunące. Pociąg mknie dalej... I znowu: „Suuleejóweek“, a jakiś oficer

uzupełnia: „Letnia rezydencja Marszałka Rzeczypospolitej“, i t. d. i d... Mroki nocne rzednąć już poczynają, na niebo świt się blady wdziera... Mijamy Siedlce, jutrzenka blednie coraz bardziej, a przed nami niezmierzone się łęgi podlaskie rozciągają; na nich zadumanych bocianów grupy o budzącem się życiu świadczą... I nagle oto pęk promieni świetlnych trysnął, darząc hojnie krasą tęczy, a złota bogactwem szafirowojasne niebo polskie. A ono olśnione szczodrością zamorskiego gościa, jako też i szczęściem własnem, w rozlewisk licznych wodzie się przeziera, dzieląc się z niemi pięknością swoją.

Zachwyceni na jeden się tylko okrzyk zdobywamy: „Rapacki, Józef Rapacki“ — i niepewni przez chwilę jesteśmy, czy to on, czy przyroda od niego barw pożyczyła. Bo rzeczywiście, niezrównany ten pejsażysta budzącą się naturę tak doskonale oddał, jaką ona tylko tam, na Jadźwingów ongi ziemi, męczeńskiem Podlasiu o świcie być może... Lecz czas mija, a pociąg wciąż pędzi i pędzi... Na stacjach większych miasteczek jak Łuków, Międzyrzec lub Biała Podlaska spotyka się archaicznego typu dorożki z kiwającymi się na kozłach Żydami, którzy czatując na mogącą się zdarzyć „okazję“, złorzeczą niemiłosiernie chudym, o wyleniałych ogonach szkapinom. Na peronach wszędzie pełno ryżych, skołtunionych, a jak marchew czerwonych głów, które zależnie od płci i wieku, już to według najnowszej mody krótko, w „peruczkę“ są podcięte i ufryzowane mocno; już też brudnemi perukami zsuniętemi z ucha na ucho są pokryte. A wszystko to rozgorączkowane wielce, gestykuluje, krzyczy, wrzeszczy, że i słońce, które zdążyło już z za Chotyłowa wychynąć i teraz ranną rosę z łanów spija, dziwić się zdaje tym „tutejszym“... Na widnokręgu wieżyce jakieś majaczeją i kominów widać kilka. To Brześć nad Bugiem. Po chwili pociąg przebywa most na Bugu, na brzegach którego zwałami olbrzymiemi leżą betonowe szczątki fortów, oraz kolczastych drutów sploty i staje na dworcu. Tu spotykamy pierwszych Poleszuków w płóciennych „sztanach“ i takichże koszulach, na wierzch modą ruską wypuszczonych i rzemieniem przepasanych. Panujący natłok zwiększa jeszcze wielka ilość wojska. Jakiś sierżant klnąc z poznańska, napróżno szuka miejsca dla swych zuchów. Pociąg jest przepełniony. Po kilkunastominutowym postoju, pod eskortą policji rusza dalej. Pytamy jakiegoś podtatusiałego jegomościa o okolice, przez które jechać będziemy. Zagadnięty, najpierw robi wielce zdziwioną minę, przygląda nam się chwilę, a potem odpowiada: „Panowie o to pytają? He, he, he; to ci dopiero, las i błota, ot co jest, ha“! — i zadowolony wielce z konceptu, błogiemu się spaniu cały oddał... A okolica rzeczywiście stawała się coraz pustszą; na nieograniczonych obszarach podmokłych łąk, gdzieniegdzie się bieliły koszule kosiarzy i kosy żywem słońcem pobłyskiwały z rozmachem spadając na soczystych traw i trzcin odmian mnóstwo, kładąc je pokotem. Pomiędzy trzcinami, z kształtu wyciory armatnie przypominającemi, a zwanemi pałkami pospolicie, olbrzymie stado świń ryje, żeru poszukując. Już to bo trzeba zaznaczyć, że hodowcy i rolnicy polscy, jak i zarówno białoruscy najwięcej się w tych nierogatych czworonogach lubują... Nareszcie bagna ustępują, przechodząc zwolna w gęste, młode jeszcze brzeźniaki, a te znów w las sosnowy przechodzą. Wielkie też jest nasze rozczarowanie, skoro miasto tyle wychwalanych lasów kresowych, nędzne, połamane, albo zgoła su-

che, napoły wycięte, albo spalone, ledwo odrosłe zagajniki znajdujemy, które na wielkich się przestrzeniach ciągnąc, w tem większe nas przygnębienie wprawiają. Z radością też witamy koniec takiego boru a początek mokradeł, które znów na znacznym obszarze się ciągną, dokąd ich bór-zagajnik nie zastąpi. Duże lasy i haszcze podmokłe zwierza wszelkiego obfitość wielką znamionują; jest go tu też gatunków mnóstwo, od łosia a bobra z nad Zygulanki zacząwszy i na wilku a szaraku skończywszy, nie wspominając o rysiu, który do rzadkości należy. Oto właśnie Kossów mijamy, ulubione miejsce polowań p. Juljana Ejsmonda znanego poety i wielkiego myśliwca...

Mijane stacje noszą wyraźne piętno gospodarki niemiecko-bolszewickiej. Budynki popalone albo porozwalane, co ma także swoją dobrą stronę, bo państwo na miejsce dawnych, w kazarmowym stylu wznoszonych budynków, buduje nowe, które w swojskim stylu stawiane mile białością swych ścian i dachów czerwienią od ogólnego tła odbijają. Mosty, choćby najmniejsze pozrywane, w części tylko odbudowane zostały. Pociąg przebywając je, zatrzymuje się w pewnej od nich odległości, by potem wolniutko, jaknajwolniej przebyć taki prymitywny, z drzewa naprędce sklecony most... W Iwacewiczach dziewczyna wiejska maliny sprzedaje. Chcę kupić, więc wołam ją ku sobie, lecz nie chce przyjść i dopiero zwabiona błyskiem srebrnego złotego zbliża się nieco, ale malin nie chce dać, żądając pierwej zapłaty. Daję jej złotego, wówczas przesypuje maliny do menażki, mówiąc: „Mienie uże odin raz oszukali, tak ja boju sia panoczku...“ Niecierpliwi już nas ta podróż, niektórzy są źli i podnieceni. Do rzędu tych ostatnich ja także należę, bo maliny okazały się tak brudne i stare z domieszką włosów w dodatku, że musiałem je wyrzucić... W Baranowiczach, gdzie się przesiadamy do pociągu zdążającego w kierunku Zdołbunowa, dziwnym jakimś, czy szczęśliwym trafem okazały budynek dworcowy w całości zachowany, natomiast jakaś fabryka i warsztaty (zdaje mi się kolejowe) w gruzach. Rząd wznosi koszary dla IX-go baonu, który w Baranowiczach ma swoją siedzibę. Za Baranowiczami kraj jeszcze nosi wyraźne piętno wojny. Ziemia wokół zryta okopami, te zaś jak i wszelkie bagna, strumienie i rowy gęstą siecią drutów kolczastych są otoczone; a niemieckie jeszcze okopy betonowe w całkiem dobrym utrzymały się stanie, robiąc przykre wrażenie grobów bez nagrobków swoją masywną, kubiczną budową.

Rozległy krajobraz przed oczyma się naszemi rozciągający, gęsto pasmami wzgórz, porosłych lasami sosnowo-jodłowemi, usiany; to też nie mogę się pozbyć wrażenia, że jadę z Krakowa do Nowego Targu. Przejeżdżamy przez Lachowicze, gdzie swego czasu Czarniecki zwycięstwo świetne nad Moskalami odniósł i wysiadamy na małym przystanku Gonczarach, a jak miejscowa ludność mówi Hańczarach, które w odległości trzydziestu kilku km od Baranowicz położone będąc, zawdzięczają swoją egzystencję dowozowi podkładów szynowych, który się tu na wielką skalę odbywa..

Od kresu podróży dzieli nas przestrzeń ni mniej, ni więcej, tylko trzydziestu km, którą musimy przebyć pieszo. Droga prowadzi szosą prostą jak strzelił, a kończącą się gdzieś hen, w Bolszewji. Pięknemi lasami, które niestety zaraza jakaś nawiedziła, bo na znacznych poła-

ciach tylko suche drzewa stoją, dochodzimy do wioski, którą od biedy miasteczkiem nazwaćby można, a która bardzo ładnie Siniawką się zowie. Wieś garbami trzech wzgórzy morenowych szosy dotyka. W tem miejscu cerkiewkę z dzwonnicą obok wystawiono, a dalej nieco, jak tablica obwieszcza urząd pocztowo-telegraficzny się mieści. Na ganku, u wejścia do wewnątrz, niebiesko malowana skrzynka listowa wisi; na frontowej ścianie tejże skrzynki widnieje nieudolnie malowana koperta zamiast orła, z takim napisem powyżej: „Skrsynka dla listow" (dosłownie). Indagowany w tej kwestji urzędnik (Żyd miejscowy) nie umie nam dać odpowiedzi. Zaznaczyć należy, że „tutejszych" w Siniawce nie brakuje, przyczem owi „tutejsi" nie tylko się handlem zajmują, który, jak z kilku szyldów wywnioskowałem, całkowicie w ich ręku spoczywa, ale także i rzemiosłem. W kilku kuźniach, jakie w Siniawce spotykam, kowalami są „tutejsi"; a nawet widzę „tutejszego", który jako rolnik, na furze zboża siedzi, powożąc równie dobrze jak i Białorusini... Szczeremi polami, na których przeważnie łany owsa i hreczki widnieją, albo łąkami szosa dalej biegnie, przecinając stale pasma wzgórz piaszczystych... W folwarczku Murowance wypada nam skręcić; co też uczyniwszy, jakąś wyboistą drożyną, wśród pól i łąk kręto biegnącą, późną już nocą do przeznaczonego na obóz majątku Janowicz docieramy. Zmęczeni srodze z błogością wielką w starym się śpichrzu lokujemy, a dysząc słuchamy pieśni, która na dwa głosy śpiewana, skądś z oddali ku nam biegnie. Dziewczęcy chór zawodzi: „Sztoż-wy, sztoż-wy maładyje chłopcy na wajenku robili?"

J. M

Ochrona Przyrody.

Niezmiernie doniosła sprawa Ochrony Przyrody ma, ściśle biorąc, dwie strony: jedną stanowi tworzenie rezerwatów, zamkniętych przed zakusami człowieka obszarów, wyosobnianie zbiorowisk, a nawet poszczególnych przedmiotów, zagrożonych przez ludzką zachłanność lub ludzkie niedbalstwo; drugą niemniej ważną, zwłaszcza u nas, jest budzenie i szerzenie świadomości o żywotnej potrzebie ochrony przyrody wśród najszerszych mas, do których sprawa ta jeszcze wogóle nie dotarła, albo u których nie znalazła należytego oddźwięku. Obie strony Was, młodzi krajoznawcy, w równym stopniu obchodzić powinny. Krajoznawstwo nie daje się wprost pomyśleć bez „krajoochraniarstwa", jedno i drugie płynie z tegosamego źródła, z umiłowania kraju; „krajoochraniarstwo" zaś potrzebuje bardzo wielu rzeczników i bardzo młodych, nie tyle wiekiem, ile fanatycznem ukochaniem przyrody i idei jej ochrony. Rozumienie jednak tej idei sami pogłębić musicie, jeśli ją chcecie skutecznie szerzyć.

W tym celu trzeba Wam pilnie studjować zeszyty organu Państwowej Komisji Ochrony Przyrody p. t. „Ochrona Przyrody". Zeszyt V, który właśnie mam przed sobą, prócz mnóstwa wiadomości drobnych, choć cennych i interesujących, jak o naszym krasie gipsowym w Siesławicach, o niektórych stanowiskach brzozy niskiej (Betula humilis) lub moroszki (Rubus Chamaemorus), o ochronie ptaków i lasów tatrzań-

skich, dostarczy Wam szczególnie doniosłych i ważkich uwag i myśli w sprawie ochrony. Mam na myśli idee, które rozwijają w swoich artykułach prof. M. Sokołowski oraz prof. St. Kreutz. Pierwszemu chodzi o wprowadzenie ochrony przyrody jako przedmiotu nauczania szkolnego, drugiemu o opiekę nad zabytkami przyrody nieożywionej. Obaj zwracają uwagę na tematy prawie że nowe, ale ponadto poruszają i myśli nowe.

Zobaczycie własne swoje grzechy, dawne a może i dzisiejsze jeszcze, w zwierciadle prawdy. Któż bowiem z Was nie strzelał dla zabawy z procy do wróbli, szczygłów, a może nawet z flobertu do wiewiórek, dzikich kaczek? Kto nie zrywał, nie myśląc zresztą o tem, całych bukietów z łąk, pól, lasów dla chwilowej przyjemności? Nie mówiąc już o tem, że każdy z Was z pewnością „obowiązkowo“ wypychał zielniki setkami roślin, ponieważ wierzył, jak mu wierzyć kazano, że to właśnie jest istotne poznanie przyrody, że w chaosie systematycznego kolekcjonerstwa jest właściwa droga do poznania przyrody. Prof. Sokołowski zwróci Wam słusznie uwagę na znacznie ciekawsze dla Was zielniki bjologiczne! Pouczy Was także, jak bardzo winniście się wstrzymywać od wielkiej ingerencji czynnej w ład i gospodarkę Przyrody w imię jakiejś narzuconej Wam doktrymy o pożyteczności jednego, a szkodliwości innego zwierzęcia! Prof. Kreutz opowiada o stalaktytowych grotach Olsztyńskich oraz o wspaniałych zbiorowiskach kryształów gipsu (do 3 m wielkości) nad Nidą, ilustrując fotografjami. Cudowne te zabytki, na których wytworzenie Przyroda silić się musiała długie tysiące lat, eksploatuje się dla celów przemysłowych całkiem planowo i bez skrupułów, chociaż materjału technicznie równorzędnego w Polsce jest bardzo wiele, tylko przez nieświadomość, przez brak elementarnego szacunku dla pomników Przyrody.

Niewątpliwie, kto z Was jeszcze nie jest zapalonym szermierzem tych idei, zostanie nim po przeczytaniu tego zeszytu. Stanie się i bardziej świadomym tego, czem Przyroda jest dla nas, czem on może być dla Niej, i zarazem poczuje się... lepszym.



Drzeworyt St. Jakubowskiego.

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Sprawozdanie z działalności Studenckiego Kółka Krajoznawczego w Strzyżowie a/W. Nasze Kółko Krajoznawcze istnieje już od trzech lat, a rok 1924/25 jest okresem jego największego rozwoju. W zarząd Kółka wchodzili koledzy energiczni, którzy swą działalnością doprowadzili, że Kółko liczy dziś około 30-tu członków, liczba stosunkowo wielka do liczebności całego gimnazjum. Działalność Kółka nie polegała tylko na urządzaniu wycieczek, z których były 3 większe: do Krosna, Odrzykonia i na Chełm szczyt, najwyższy w naszym powiecie wynoszący 532 m i 3 mniejsze t. j. podmiejskie, ale także na wygłaszaniu referatów i odczy-



Wycieczka krajoznawcza Studenckiego Kółka Krajoznawczego w Strzyżowie n/W.

tów z dziedziny krajoznastwa przez kolegów z klas najwyższych. Praca ta nie poszła na marne o czem świadczą egzaminy, jakim poddawali się członkowie nadzwyczajni chcący przejść na zwyczajnych. Obecnie egzaminy te są obowiązkowe i będą odbywać się co roku. Z wzrostem liczebności członków i wskutek rozszerzenia działalności Kółka dał się odczuwać brak niezbędnego inwentarza, a na zakupno nie było funduszów. Temu zaradził prezes Kółka kol. Cieśla przez założenie bufetu, z którego korzystali uczniowie naszego gimnazjum, a Kółko miało znaczne dochody. Po dwóch miesiącach mając dostateczną ilość pieniędzy na zakupno inwentarza oddało Kółko Krajoznawcze bufet nowo założonej „Bratniej Pomocy“ uczniów gimnazjum. Po rocznej działalności zarząd z roku szkolnego 19242/5 złożył dalszą pracę w ręce nowo obranego zarządu, w skład którego wchodzą: kol. Burghard Karol prezes, Lepucki Henryk wice-prezes, Janko Mieczysław sekretarz-skarbnik, Lubelski Jan i Michałowski Stanisław członkowie zarządu. W skład komisji rewizyjnej wchodzą: kol. Cieśla Bolesław i Cynarski Stanisław. Gospodarzem Kółka jest członek zarzadu kol. Michałowski St., a bibljotekarzem członek komisji rewizyjnej kol. Cynarski St. Staraniem nowego zarządu jest powiększenie bibljoteki Kółka, a fundusz spodziewa się czerpać z przedstawień amatorskich.

Kółko Krajoznawcze Młodzieży Gimnazjum Sejmikowego w Stopnicy. (woj. Kieleckie) rozpoczęło swoją działalność w miesiącu kwietniu 1925 r. Kółko powstało z inicjatywy dyr. Br. Oszubskiego i liczy obecnie 35 członków. W sezonie wiosennym Kółko zorganizowało dotychczas wycieczki do Szydłowa i do kościoła parafjalnego w Stopnicy, na których młodzież poznała ciekawe zabytki

sztuki z czasów Kazimierza Wielkiego. Na końcu roku szkolnego Kółko zorganizowało wycieczkę dłuższą w góry Świętokrzyskie. Na zebraniach Kółka członkowie wygłaszali referaty, dotyczące historji najbliższych osad, w międzyczasie zbierali okazy sztuki ludowej, które są umieszczone w Muzeum Kółka. Opiekunem Kółka jest p. Gerard Pojnar, profesor przyrody Gimn. stopnickiego.

Z działalności Koła Krajoznawczego Młodzieży przy P. T. K. w Warszawie. Przeszły trzy miesiące pracy w bieżącym roku szkolnym. Sobota, dzień zebrań niecierpliwie oczekiwany przez członków stał się ogniskiem zespalającem uczestników w węzły organizacji.

Śmiało rzec można, iż w obecnym okresie wzięto się gorąco do pracy. Walne zebranie z dnia 26/IX dało Kołu nowy zarząd: prezes Berżyński, wiceprezes B. Trojanowska, sekretarz Z. Kotecki, skarbnik E. Grzesiewicz, przew. kom. doch. niest. E. Piotrowski, przew kom. wycieczk. B. Guerguin, przew. kom. referat. P. Mamrot.

Zadania zarządu zdążają tak do pogłębienia wewnętrznej pracy w Kole, nie zaniedbując zarazem jednak i stosunków z innemi organizacjami krajoznawczemi. Stosunek naszego Koła do P. T. K. wytworzył się serdeczny i miły, dzięki czemu działalność naszą mogliśmy swobodnie rozwinąć uzyskując często od zarządu P. T. K. pomoc. Zebrania Koła gromadzą licznie członków i zapraszanych gości. Referaty o Paryżu, Tatrach, Wiśle, Pieninach, Wilnie, biologji polskiego morza, Ukrainie, ilustrowane licznie przeźroczami i zakończane dyskusją, wypełniały zebrania.

Odczyt prof. Al. Janowskiego o „Wyspach Hawajskich", odczyt p. Szlecy prelegenta łużyckiego o „Łużycach" pozwoliły audytorjum zapoznać się z ciekawemi i interesującemi prelekcjami. 12 grudzień poświęcono żałobnej akademji ku czci Żeromskiego i Reymonta. Dnia 19 grudnia odbyło się wspólne zebranie członków naszego Koła z członkami Koła Akademickiego Krajoznawczego, p. Jachnis wygłosił na nim odczyt „Tatry w szacie zimowej".

Stosunki naszego Koła z Kołem Kraj. Mł. przy Sem. Naucz. w Siennicy zawiązały się już w 1923 r. i trwają nadal przyjaźnie. Koło posiada bibljotekę prowadzoną przez kol. Strasburgerównę. Prenumeruje „Ziemię" i sprowadza miesięcznie 20 do 30 numerów „Orlego Lotu". Wycieczki głównie podmiejskie: Bielany, Młociny, Raszyn, Wilanów. Z dalszych zorganizowała Komisja wycieczkowa jedną do Płocka. Na święta Bożego Narodzenia urządza wycieczkę w Tatry na dni sześć. Pocztówki, fotografje i mapy składają się głównie na zbiory Koła.

Zarząd Koła chcąc zbliżyć i towarzysko członków zorganizował szereg zebrań, na których prelegenci wypowiadali wrażenia z odbytych wycieczek opracowywane dowcipnie i z humorem, urozmaicając jednocześnie prelekcje przeźroczami. Komisja dochod. niest. zorganizowała wieczór tańcujący w celu powiększenia dochodów Koła. W kasie znajduje się 215 zł. Komisja Rewizyjna, w skład której weszli kol. St. Smidówna, E. Berżyńska i E. Ostwuch, znalazła książki członków zarządu w porządku.

Koło Krajoznawcze Młodzieży w Kutnie. Dnia 21 grudnia 1925 r. w Gimnazjum państw. im. H. Dąbrowskiego w Kutnie, odbyło się zebranie organizacyjne Koła Krajoznawczego, zwołane z inicjatywy Zarządu Bratniej Pomocy Gimnazjalnej. Zebranie zagaił prezes Bratniej Pomocy kol. Ciechowicz, który w krótkich słowach przedstawił obecnym kolegom cel Koła Krajoznawczego. Następnie zapisano członków w liczbie 39, co świadczy o żywem zainteresowaniu się ideą Kółka Krajoznawczego, poczem przystąpiono do wyborów władz Koła. Prezesem Koła został kol. Stefanowicz, sekretarzem kol. Górski.

Sprawozdanie z czynności Koła Krajoznawczego uczniów V. gimnazjum państw. w Krakowie im. W. Nałkowskiego. Koło powstało w r. 1922 dzięki inicjatywie prof. dra W. Kubijowicza, który był opiekunem Koła przez cały ciąg jego istnienia. W roku szkolnym 1924/5 liczyło Koło średnio 25 członków z klas V, VI i VII. Na czele zarządu stał Glatman, sekretarzem był Chyczewski Praca Koła polegała na referatach i wycieczkach. Pierwsze były przeważnie treści geograficznej i odnosiły się albo do obszarów poznanych przez członków Kółka z autopsji (np. referat o mieście Korcu i o stosunkach gospodarczych wsi Zawoji), albo też miały na celu dokładne poznanie pewnego obszaru krajoznawczego. Jako taki wybrano sobie Beskidy Magórskie i opracowano je w szeregu referatów na podstawie autopsji, literatury i map. W ten teren zrobiono na wiosnę szereg wycieczek z poszczególnymi członkami Kółka, jak to kilkudniową wycieczkę w Gorce, 3-dniową na Babią Górę i 3-dniową na Pilsko i do płd. Żywiecczyzny.

Z książek i czasopism.

Ziemia. Dwutygodnik krajoznawczy ilustrowany, organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Rok XI. Nr. 1. „Ziemia“ wychodzi jako dwutygodnik pod redakcją M. Janowskiego, prezesa P. T. K. Zeszyt 1. poświęcony jest śp. Stefanowi Żeromskiemu. Na treść jego składają się artykuły: Al. Janowskiego: Piękno Polski u Żeromskiego; K. Górskiego: Idea Polski w twórczości Żeromskiego; Al. Patkowskiego: Ideologja regjonalna Stefana Żeromskiego; R. Danysz-Fleszarowej: Krajoznawstwo i Regjonalizm; A. Uziembły: Przegląd prasy prowincjonalnej; R. D. F.: Z kraju i ze świata. Podkreślić należy mały artykulik nie podpisany, który tchnie zdrowym optymizmem Redaktora p. t.: Rzeczy radosne. Pod tym tytułem zamierza Redakcja podawać: rzeczy radosne, które siłą swoich faktów powalać będą na obie łopatki kraczących pesymistów. Takim np. radosnym faktem jest to, że magistrat miasta Łodzi dba o rozwój szkół i na cele szkolne wydaje 28·9% całego budżetu.

Polska, Ilustrowany słownik geograficzny. Stanisław Switniewski, Lwów, 1925. Uczniowie szkół średnich odczuwali niejednokrotnie brak krótkiego a przejrzystego słownika geograficznego, którył im pozwolił zajrzeć doń i znaleźć odpowiednie objaśnienie czy to przy nauce, czy przy lekturze. Tym brakom stara się zaradzić cytowany wyżej słownik, podający na 4 arkuszach druku około 10.000 nazw geograficznych, miejscowości, gór, rzek, krain a nawet objaśniający ogólną terminologję geograficzną. Objaśnienia są zwięzłe ale pełne treści. Mimo szczupłych wymiarów, jest słownik ilustrowany 50 fotografjami, przeważnie miast. Natomiast brak mapki, którąby dopomogła w orjentacji. Słownik powinien znaleźć się w rękach każdego ucznia i krajoznawcy.

Dr Adam Fischer. Lud polski, prof. uniwersytetu Jana Kazimierza, podręcznik etnografji Polski, opracowany z zasiłku M. W. R. i O. P. z 3 mapami i 58 ilustracjami w tekście. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Lwów—Warszawa—Kraków, 1926. Pojawiło się nareszcie w księgarniach tak bardzo potrzebne i wyczekiwane opracowanie syntetyczne w formie podręcznika zagadnień etnografji Polski. I treść i sposób jej ujęcia ułatwia korzystanie szerokim masom społeczeństwa polskiego, interesującego się ludoznastwem w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Trud podjęty przez prof. Fischera był zaiste wielki. Jeśli uświadomimy sobie fakt ogromu zebranych materjałów surowych, wielkiej ich niejednolitości „w dziedzinie kultury duchowej piętrzą się one olbrzymio, to przeciwnie w dziale kultury materjalnej zbiory są wręcz słabe, niedokładne, dorywczo i niejednolicie zestawione“ (Przedmowa do podręcznika). A mimo tego wybrnął autor w układzie i doborze treści obronną ręką i osiągnął cel, jaki stawia w przedmowie; książka ma stanowić „lekturę pomocniczą dla szkół średnich, wprowadzając zarazem w studjum etnografii na uniwersytach“. Dla nas najważniejsze ma spełniać zadanie ta książka w pewnym typie szkół średnich, a to w seminarjach nauczycielskich, gdzie winna być obowiązkowo przestudjowana, a zapoznanie się z podawaną przez autora literaturą odpowiednią jest polecenia godne. Nikt bardziej jak przyszli pracownicy oświatowi wśród ludu nie jest bardziej powołany do otrzymania pewnych, naukowo ugruntowanych wskazówek, jak patrzeć na lud, cenić wartości etnograficzne i zachować je przed zniszczeniem lub pójściem w niepamięć. Zapoznanie się z treścią pogręcznika prof. Fischera z chwilą, kiedy ów istnieje, staje się warunkiem bezwzględnym przygotowania się do pracy krajoznawczej także licznych członków młodych kół. *S. N.*

Al. Janowski, Stanisław Staszic. W związku z nadchodzącym uroczystym obchodem setnej roecznicy śmierci Stanisława Staszica, Polskie Tow. Krajoznwczewydało powyższą popularną broszurę. Autor w bardzo przystępnej i pięknea forj mie nakreślił żywot Staszica. Broszurka ta posłużyć może, zwłaszcza dla nauczycielstwa, jako dobrze opracowany wykład ilustrowany 35 starannie dobranemi przeźroczami Wybór myśli Staszica i bibljografja dopełniają cenną tę broszurę. Broszura jest do nabycia w Polsk. Tow. Krajoznawczem, Warszawa, ul. Karowa 31. Cena 40 gr. Szkoły i Nauczycielstwo otrzymują 20% rabatu.

Czasopismo Geograficzne Tom III. Z. 1/2. Zima-Wiosna 1925. Bogata treść składa się, jak zwyczajnie, z artykułów programowych, metodycznych, naukowych, opisowych i wiadomości geograficznych. W artykule programowym omawia M. Mścisz program nauczania w szkołach handlowych trzyletnich, w metodycznych omawia prof. Pawłowski kwestję pisowni nazw geograficznych, J. Staśko metodę

stosowania zadań w szkole średniej, St. Niemcówna zajmuje się kwestją wycieczek szkolnych, a L. Leszko pierwiastkiem geograficznym w malarstwie współczesnem.

W związku z wycieczkami dokonanemi w czasie Kongresu Geograficznego w Kairze znajdujemy opis geograficzny oazy Kharga, położonej głęboko w pustyni Libijskiej pióra prof. Pawłowskiego i opisy pustyni Libijskiej A. Gadomskiego. Wł. Massalski dzieli się z czytelnikami swemi wrażeniami z pustyni Turańskiej, a A. Kozłowska przedstawia florystyczne stosunki Centralnej Wyżyny Francuskiej. Prof. Poniatowski omawia dalej nowsze postępy etnologji, Kosińska-Bartnicka uśnieżenie w Polsce w zimie 1923/4. Pierwsze dokładne pomiary granic Polski i płynące stąd wnioski geograficzno-polityczne przedstawia A. Zierhoffer. Opisowi osadnictwa i szałaśnictwa najwyższej góry beskidowej Babiej Góry jest poświęcony artykuł M. Mrazkównej i W. Kubijowicza.

W wiadomościach geograficznych znajdujemy całe mnóstwo spółczesnych wiadomości geograficznych, zwłaszcza z zakresu przemysłu i handlu polskiego i zagranicznego. Kończą bogaty w treść zeszyt sprawozdania z literatury i ruchu geograficznego oraz przegląd literatury.

Humor krajoznawczy

Jadwigi Bzikoko.

Pewna młoda krajoznawczyni wyszła z domu na wycieczkę z plecakiem porządnie naładowanym przez troskliwą mamusię. Ale o zgrozo! Po pięciu dniach wraca niosąc jeszcze więcej wypchany.

— Bój się Boga dziewczyno! — Wita ją mamusia. — Tośty nic nie jadła przez te pięć dni?

— Ależ mamusiu, proszę się uspokoić. To nie jedzenie, tylko granity i numulity na pamiątkę z Tatr przywiezione.

* * *

Zirytowana pani domu do męża:

— Proszę Cię, zaraz jutro wynieś ten połamany stołek do Muzeum Etnograficznego. Zosieńka dwa razy spadła dziś z niego. Tu stoi jako bezużyteczny grat, a tam za szkłem będą go podziwiać“.

* * *

— No i czegoś się ciekawego, nowego dowiedziała na odczycie?

— O bardzo dużo, że będzie zabawa na przyszły wtorek u Zosi, że Janek zrobił się krajoznawcą, że Józia też się na wycieczki wybiera, że...

— Ale, co mówił pan profesor?

— Właściwie nie wiem... mówił tam coś o „Budowie wewnętrznej Tatr“, ale to było takie nudne...

* * *

Siedem cudów świata.

1. Zmysł orjentacyjny u krajoznawców.
2. Bardzo dobry stopień z geografji.
3. Obszerny, a mądry artykuł do „Orlego Lotu“.
4. Naukowo i dowcipnie ujęte sprawozdanie z wycieczki.
5. Wszystkie fotografje z wycieczki udane.
6. Wyregulowane rachunki za prenumeratę „Orlego Lotu“.
7. Posiadanie jednego bodaj „całego“ rocznika „Orlego Lotu“.

* * *

Zagadka: Które Koło Krajoznawcze młodzieży ma pięć opiekunek, a ani jednego członka?

NOWE WARUNKI PRZEDPŁATY!

„Orli Lot“ wyjdzie w r. 1926 w 10 zeszytach; do każdego zeszytu dołączymy **dodatek artystyczny** wykonany na kredowym papierze. Przedpłata wynosi **4 zł. rocznie** z przesyłką pocztową, a 3·50 zł. bez przesyłki. Poszczególne numera po 40 gr. z przesyłką, a 35 gr. bez przesyłki.

Ważne dla Kół! Odbierający 10 egz. otrzymują 1 egz. bezpłatnie.

DLA WYGODY NASZYCH P. T. CZYTELNIKÓW „ORLI LOT“

można odtąd **zaprenumerować** we wszystkich urzędach i ajencjach pocztowych Polski lub wprost u listonoszów, którzy dostarczą karty zamówień i pokwitują odbiór należytości za prenumeratę, jak niemniej bezpośrednio w Administracji, Kraków 11, Barska 41. Konto czek. P. K. O. 401.101.

PREMJE!

Ci, którzy wpłacą całoroczną przedpłatę, mogą nabyć Bibljotekę „Orlego Lotu“ z opustem 20% a „Bibljotekę Orbisu“ z opustem 10% od cen księgarskich.

PRZEDPŁATA „ZIEMI“.

Koła Krajoznawcze Młodzieży korzystają przy nabywaniu „Ziemi“ z 20% zniżki. Przedpłata roczna wynosi 18 zł. Adres: Warszawa, Karowa 31.

BIBLJOTECZKA „ORLEGO LOTU“

Nr. 1. **Niemcówna,** Metodyka pracy w kołach krajoznawczych . .	Cena Zł. 0·25
Nr. 2. **Chałubiński,** Sześć dni w Tatrach	„ „ 0·60
Nr. 3. **Wiktor-Piłsudski,** Krzyże przydrożne	„ „ 0·40
Nr. 4. **Tomkowicz,** Style w architekturze	„ „ 1·20
Nr. 5. W. Pol jako krajoznawca	„ „ 0·25
Nr. 6. **Hryniewiecki,** Moja pierwsza wycieczka krajoznawcza .	„ „ 0·40

Do nabycia

w Nakład. Księgarni „Orbis“. Kraków-Dębniki. Barska 41.

Cena zeszytu pojedynczego (16 stronic) z przesyłką pocztową 40 gr., zeszytu podwójnego (32 stronic) 80 gr. bez przesyłki 35 gr. wzgl. 75 gr. Przedpłata roczna 4·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki i u p. Czaykowskiego, plac WW. Świętych (sprzedaż dzienników).

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis“, Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor: Leopold Węgrzynowicz, Kraków I., Krowoderska 74 II p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis“.

Nakładem i drukiem „Orbisu“ w Krakowie.